10. lutego 1866. Nr. 6. Rok I.

Wychodzi we Lwowie co sobotę, arkusz lub półtora.
Prenumerata w miejscu: 6 zł. 50 ct. rocznie — 3 zł. 25 ct. półrocznie — 1 zł. 65 ct. kwartalnie — 55 ct. miesięcznie.

TYGODNIK NAUKOWY I LITERACKI.

Zamiejscowa w Austrji: 7 zł. rocznie — 3 zł. 50 ct. półrocznie — 1 zł. 80 ct. kwartalnie — 60 ct. miesięcznie.
Redakcja i administracja pod l. 168 m. przy ulicy Dominikańskiej.
Expedycja i miejscowa prenumerata w księgarni J. Milikowskiego.

O umiejętnej nauk uprawie.

Przez **Karola Widmana**.

I.

(Dokończenie.)

Czynność rozumu ludzkiego, gdy myśli lub bada rzeczywistość jest przedmiotem nauki o m y ś l e n i u, l o g i k i.

Nauki tej osnowę stanowią prawidła niezłomne (axiomata) wysnute z roztrząsania sposobów działania rozumowego przy badaniu wszelkiem, które to działanie nazywamy ogólnym wyrazem m y ś l e n i a. Jestto, według naszego powyższego określenia teorji: t e o r j a m y ś l e n i a.

Ponieważ tedy wszelkie, jakiekolwiek badanie nie może się odbywać inaczej jak tylko przez myślenie, czy to aprioryczne czy aposterjoryczne, więc wszelkie badania naukowe muszą się odbywać według prawideł logiki.

Ztąd to poszło, że logikę mają jedni za podstawę wszelkiego badania, inni za treść rdzenną wszelkich nauk, nauki zaś same mają albo tylko za odnogi lub gałęzie logiki jako umiejętności zasadniczej, lub za osnowanie rozmaitych przedmiotów na jednej i tej samej treści. W takim razie byłaby wszelka umiejętność tylko różnolicowem przedstawieniem logiki. Takie znaczenie nadają logice niektóre szkoły spekulacyjne, filozoficzne.

Ostateczność ta w przypisywaniu teorji myślenia znaczenia, jakiego ona nie ma w umiejętnej uprawie nauk naprowadziła innych na przeciwną ostateczność przypisywania ważności jedynie zmysłowemu dostrzeganiu.

Zmysłowi badacze nauk nie mogąc się obejść także bez pracy rozumowej przy swoich badaniach, wyznają wprawdzie potrzebę pewnych prawideł logicznych, ale przypisują im znowu znaczenie zupełnie podrzędne, i niektórzy stawiają logikę ledwie że nie na równi z nauką czytania, pisania i początkowych rachunków.

Najbardziej zbliżone do prawdy jest zdanie tych myślicieli, którzy uważają logikę za klucz do wszystkich umiejętności, czyli za narzędzie niezbędne do wszelkich badań naukowych, jak *Carey* i poniekąd *le Comte*.

Określenie to nazywamy tylko zbliżonem do prawdy, gdyż nie obejmuje ono w sobie całego zadania, jakie my przypisujemy logice przy badaniu naukowem.

Nie dosyć jest podawać prawidła myślenia ludzkiego w ogóle bez względu na to, czy ono ma służyć do rozsądnego i rozumnego pojmowania pojedyńczych rzeczy w potocznem życiu, czy też do badań naukowych.

Nauka o sądzeniu, wnioskowanie o rozróżnianiu i rozbieraniu pojęć, o stosowaniu pomysłów do rzeczywistości i wyprowadzeniu pomysłów ogólnych ze spostrzeżeń zmysłowych, o szyku pojęć, sądów i wniosków, jest tylko jedną częścią logiki, częścią jej ogólną, opiewającą tylko o rozsądnem i rozumnem myśleniu.

Drugą częścią logiki, zbyt niedostatecznie dotychczas opracowaną, jest nauka o badaniu umiejętnem czyli właściwa n a u k a u m i e j ę t n o ś c i.

Tej części treścią jest ustanowienie prawideł:

a) Szyku zasobów wiedzy ludzkiej zdobytej przez badania naukowe.

b) Tworzenia teorji nauk i opracowania praktycznej ich strony t. j. wyprowadzenia prawideł naukowych z praktyki i sprawdzania zasad apriorycznych na praktyce.

c) Krytyki naukowej.

d) W końcu w y d z i e l e n i a z tego wszystkiego zasad niezbitych, wyprowadzenia z tychże wniosków, u s z y k o w a n i a tych zasad i wniosków z nich wyprowadzonych i zestawienia takowych w jednolitą budowę, przez co nauka staje się umiejętnością.

Na tem jednak nie kończy się jeszcze całe zadanie nauki umiejętności. Rozwój jej pracy jest obszerniejszy, a to cośmy tu ujęli w czterech punktach powyżej podanych, stanowi jeden dział nauki umiejętności. Dział ten powinien mieć nazwę p o w s z e c h n e j m e t o d o l o g j i u m i e j ę t n o ś c i.

Tej części logiki nie posiadamy należycie opracowanej. Jakoż i trudno ją opracować, gdyż wymaga ona znajomości całego zakresu wszelkich nauk. Ażeby takiemu zadaniu mógł podołać jeden człowiek, potrzeba, ażebyśmy posiadali p o g l ą d y d z i e j o w e i k r y t y c z n e nauk wszystkich gałęzi, ułatwiające poznanie całego ich zasobu, według już wyżej podanej skazówki.

Dopóki tego nie posiadamy jest tylko możliwem podanie i zestawienie ogólnych niektórych prawideł, nareszcie ustanowienie pewnych zasad hypotetycznych i zebranie ich w jeden szyk. Możliwym jest zatem tylko zarys takiej powszechnej metodologji. W niedostatku wspomnionych dopiero poglądów historycznych i krytycznych na zasób naukowy w każdej gałęzi wiedzy ludzkiej są materjałem pomocnym istniejące już opracowania metodologji pojedyńczych nauk gałęzi. Ale i z tych opracowań przyniosą głównie pożytek tylko metodologje utworzone na podstawach praktycznych, ułożone według doświadczenia: jak twórcy i uprawiacze nauk sobie postępowali przy badaniach naukowych. Jest to owa praktyczna strona metodologji powszechnej, jaką każda nauka posiadać musi i z której każda wyśmiewa prawidłową stronę swojej teorji.

Z metodologji pojedyńczych nauk tedy należy wyciągnąć prawidła i zasady ustalone a spólne wszystkim naukom i uszykować je w jedną budowę. Nie należy się łudzić, iżby tak ułożona powszechna metodologja była już wykończoną. Będzie to tylko z a r y s p o w s z e c h n e j m e t o d o l o g j i u m i e j ę t n o ś c i.

Wedle takiego zarysu powszechnej metodologji umiejętności przedsiębrane opracowanie pojedyńczych nauk z odmianami stosownemi do treści każdej nauki może doprowadzić do uzupełnienia braków, jakieby koniecznie w takim zarysie znajdować się musiały. Wedle tego uzupełnienia powszechnej metodologji musiałyby znowu specjalne metodologje ulegać uzupełnieniu i udoskonaleniu.

Powszechna metodologja umiejętności w swojem wydoskonaleniu musiałaby przeto zawierać prawidła do nadania kształtu umiejętnego każdej nauce i sposób, w jaki się wedle prawideł rozumowych powinny przedsiębrać i szykować badania naukowe wszelkie bez różnicy — czyli prawidło uprawy umiejętnej wspólne wszystkim naukom.

Napotkamy tu na zarzut zapewne, że to jest rzeczą niepodobną, a mianowicie przewidujemy ten zarzut głównie ze strony uprawiaczy doświadczalnej czyli zmysłowej dziedziny nauk.

Zarzut ten wprawdzie nie trudny do zbicia przez samo odwołanie się do tego, że nawet badanie zmysłowe musi się od-

bywać podług pewnych prawideł, jeżeli ma doprowadzić do pożądanego skutku Lecz nie uważamy tej odpowiedzi na rzeczony zarzut za dostateczną.

Należy uwzględnić, że nauki doświadczalne rozwijają się rzeczywiście innym trybem niż rozumowane.

Ostateczną podstawą wszelkich badań zmysłowych jest przestrzeń, czas i liczebność zjawisk lub przedmiotów badanych. Są to kategorje wpadające w zakres matematyki.

Nauki doświadczalne opierają się ostatecznie wszystkie na matematyce. Jeżeli w niektórych nie weszła dotąd matematyka w zastosowanie, to nie dla tego, jakoby one nie miały matematycznej podstawy, tylko dla tego, że dotychczas nie wynaleziono właściwego matematycznego kształtu dla nich. Że jednak takie kształty istnieją dla wszystkich bez wyjątku, to okazuje się z postępem tych nauk coraz dowodniej. Wspomnę tu tylko, że według najnowszych poszukiwań anatomja i fizjologja opierają się na matematycznych podstawach.

Matematyki przedmiotem jest kształt, pod jakim występują wszelkie zjawiska zmysłowe, jeżeli je pojmujemy odrębnie od treści, którą tu nazywamy materją (tworzywem).

Podobnie więc ma się matematyka do badania zmysłowego jak logika do myślowego i na podobneż naprowadziła domysły badaczów wiedzy ludzkiej.

Bardzo wielu myślicieli uważa matematykę za jedyną umiejętność (umiejętność, *καθ' ἐξοχήν*, *par exellence*). Inni nazywają ją umiejętnością realną, jak l e C o m t e. C a r e y twierdzi, że matematyka jest porównie z logiką kluczem do umiejętności, czyli narzędziem badań umiejętnych. Niektórzy myśliciele uważali całe stworzenie (*universum*) jako harmonijną kombinację matematyczną. Przypisywanie kształtom matematycznym pewnej realnej, zmysłowej wartości naprowadziło wielkich myślicieli na gienjalne paradoksa, które pomimo że są genjalne, nie przestają być paradoksami. L e i b n i z twierdzi, jak wiadomo, że muzyka jest tylko matematyką uprawianą nieświadomie (*est mathematica nescientis se numerari animi*). S c h e l l i n g utrzymuje, że światło jest tylko gieometrją uwidocznioną. Wiadomo, jak wielką wagę przypisywali uczeni od Pytagoresa aż do Newtona pewnym liczbom w układzie stworzenia.

Czegoż to w końcu dowodzi?

Oto, że p r z e s t r z e ń, c z a s i l i c z b a, które są przedmiotem matematyki, są oraz powszechnemi kształtami, w których się z m y s ł o m wszelkie istnienie przedstawia, zarówno jak m y ś l, która jest przedmiotem logiki, stanowi powszechny kształt, w jakim się istnienie przedstawia u m y s ł o w i.

Podaje tedy matematyka powszechny tryb badania we wszystkich naukach opartych na badaniu zmysłowem, zarówno jak logika podaje powszechny tryb badania umysłowego.

Nie stanęły na stopniu umiejętnym jeszcze te nauki doświadczalne, których treści nie można było jeszcze dotąd ująć w kształty matematyczne. Podobnie też nie stoją na stopniu umiejętnym nauki rozumowane, których logika czyli raczej nauka umiejętności nie ujęła jeszcze w formy rozumowe.

Logika i matematyka są jakoby dwie siostry, a raczej dwie równoległe drogi, prowadzące do umiejętnej uprawy nauk.

Zachodzi między temi dwiema umiejętnościami bliższe pokrewieństwo niż się na pozor wydaje. Możnaby na wzór gienjalnego orzeczenia Leibniza powiedzieć raczej o logice, że jest nieświadomie uprawianą matematyką, gdyby sama istota tej nauki nie wykluczała wszelkiej nieświadomości. Dlatego trafniej można określić jako matematykę bez liczb, a matematykę jako logikę ułożoną w liczbach.

Ztąd też wynika, że logika jako teorja myślenia i jako nauka umiejętności zawiera także prawidła dla nauk doświadczalnych, a zwłaszcza dla nauk, wyrobionych na podstawie matematycznej.

Nawzajem zaś matematyka zawiera prawidła, które się dają stosować do nauk rozumowanych.

Wzajemność ta nie jest jeszcze dostatecznie wyjaśnioną w dziedzinie umiejętności, tak dalece, że zdanie nasze o pokrewieństwie tych dwóch umiejętności jest jeszcze dziś wystawione na zarzut, jakoby było paradoksem. Kto jednak z tych tu podanych skazówek pojmuje, jak blizko siebie stoją logika i matematyka, ten musi przyznać, że usprawiedliwionem jest nasze twierdzenie, jakoby logika w części swojej zastosowanej do umiejętności mogła i powinna zawierać prawidła d l a w s z y s t k i c h u m i e j ę t n o ś c i w o g ó l e i że ta część jej może słusznie nosić nazwę p o w s z e c h n e j m e t o d o l o g j i u m i e j ę t n o ś c i.

Sądzę nawet, że ta równoległość wywodów matematycznych i logicznych powinna być wskróś wykazaną w opracowaniu logiki jako nauki umiejętności tak w jej ogólnej części, tj. teorji myślenia (właściwej logice), jakoteż i w drugim jej dziale, tj. p o w s z e c h n e j m e t o d o l o g j i u m i e j ę t n o ś c i.

Powszechna metodologja umiejętności nie rozwiązuje wszelako jeszcze całego zadania n a u k i u m i e j ę t n o ś c i.

Dalszą część nauki umiejętności musi stanowić uszykowanie wszystkich umiejętności w ład oparty na podstawach rozumowych wedle ich bliższego lub dalszego związku między sobą, wedle ściślejszej lub mniej ścisłej spólności prawideł zasadniczych.

Jest to p o w s z e c h n a e n c y k l o p e d j a u m i e j ę t n o ś c i.

Mylnem byłoby mniemanie, jakoby taka powszechna encyklopedja umiejętności miała w sobie zawierać wykład wszystkich nauk co do treści. Owszem, jako nie jest w ogóle rzeczą nauki umiejętności wdawać się w rozbiór i badanie samejże treści nauk, tak w części jej zwanej encyklopedją nie należy wdawać się w wykład wszystkich umiejętności. Należy tu tylko wykazać pokrewieństwo i związek wszystkich nauk wedle głównych przedmiotów, stanowiących treść takowych; należy dalej uszykować cały zasob wiedzy naukowej wedle prawideł podanych w powszechnej metodologji.

Tak jednem z pierwszych zadań tej części nauki umiejętności będzie podział całego zasobu wiedzy naukowej na umiejętności rozumowane i doświadczalne; dalej: wykazanie, które umiejętności i nauki do którego z tych działów należą.

Ponieważ zaś badanie umiejętne nie pozostaje w żadnej nauce wyłącznie tylko w jednej dziedzinie, albo odrębnego rozumowania albo tylko zmysłowego dostrzegania (jakeśmy to wykazali na początku niniejszej rozprawy), ale przechodzi koniecznie z jednej dziedziny w drugą: więc w uszykowaniu umiejętności byłoby zupełne odłączanie rozumowanych od doświadczalnych jednostronnem. Należy wszędzie wykazać między rozmaitemi nauk gałęziami węzeł łączący owe dwie dziedziny.

Takim węzłem łączącym jest już sama ta okoliczność, że każda umiejętność ma swoją doświadczalną i swoją rozumowaną stronę. Podział zatem nauk na doświadczalne i rozumowane zależy od tego, zkąd każda z nich bierze swój przedmiot: czy ze zmysłowego czy umysłowego życia. Nauki filozoficzne, obyczajowe, społeczne mają za główny przedmiot umysłową stronę życia ludzkiego. Zmysłowe badanie jest dla nich pomocniczem poparciem, które im nawet wiele zasobu dostarcza, ale nie stanowi treści istotnej. Nauki przyrodnicze znowu czerpią z dziedziny zmysłowości swój przedmiot, strona więc zmysłowa jest tu treścią istotną a umysłowa strona jest w nich pomocniczą i oraz szykującą.

W tych dwóch gałęziach głównych wiedzy naukowej znajdują się rozliczne, a nawet może w nieskończoność idące rozgałęzienia.

Wystawić tedy całą tę budowę umiejętności i nauk łączących się ku jednej całości między sobą, opisać ją, wykazac umiejętnie ich związek, zależność wzajemną, to jest zadaniem p o w s z e c h n e j e n c y k l o p e d j i u m i e j ę t n o ś c i.

Istniejące rozliczne zarysy tej części logiki są ułożone właśnie nie jako część logiki, tylko jako odrębne działy rozmaitych systemów filozoficznych. Takie opracowania encyklopedji umiejętności noszą na sobie cechę tego systemu filozoficznego, z którego powstały i są przeto jednostronne. Tymczasem p o w s z e c h n a e n c y k l o p e d j a u m i e j ę t n o ś c i, według tu podanego

pojęcia, nie powinna być wypływem pewnego systemu filozoficznego, ale raczej wynikiem (rezultatem) wszystkich dotychczas istniejących systemów i to nie filozoficznych, ale samychże nauk, które mają być zestawione.

Encyklopedja powszechna umiejętności będzie tylko wtedy miała cechę prawdziwie umiejętną, jeżeli powstanie przez:

a) uszykowanie materjału dziejowego nagromadzonego w ciągu wieków w badaniach naukowych;

b) krytyczne tegoż rozpatrzenie;

c) wysnowanie prawideł zasadniczych i ustawienie tych, które umysł ludzki dotychczas wykrył ku zestawieniu powszechnego ustroju (organizmu) wszystkich nauk niestojących jeszcze na stanowisku umiejętności i takich, które już wstąpiły w szereg umiejętnie uprawianych nauk;

d) wyprowadzenie z tych prawideł dalszych wniosków, uszykowanie już wyprowadzonych co do pokrewieństwa, związku i zależności między sobą nauk i umiejętności;

e) wystawienie obrazu całego ustroju nauk i umiejętności według tych prawideł.

Dokonanie takiego opracowania powszechnej metodologji i encyklopedji umiejętności jest uwieńczeniem nauki umiejętności.

Według ogólnych w takiej nauce wyłożonych prawideł może być opracowana skutecznie szczegółowa część nauki umiejętności czyli zastosowanie jej do pojedyńczych nauk i umiejętności.

Przez wypracowanie nauki umiejętności ogólnej i szczegółowej otwiera się droga do umiejętnej uprawy wszelkich nauk.

Ponieważ jednak nie posiadamy jeszcze wyrobionej nauki umiejętności, a wyrobienie takowej, jak z niniejszego wykładu każdy łatwo pozna, jest rzeczą wymagającą wielkich sił i dłuższego czasu, więc usiłuję w dalszym toku tego wykładu dać bardzo wprawdzie niedokładny zarys podobnej pracy, który jednakże może poda zdolniejszym ludziom myśl do skupienia sił swoich ku wypracowaniu dokładnej nauki umiejętności.

Tymczasem tuszę, że i ten niedokładny zarys będzie dostatecznym, aby ułatwić młodzieży wstępującej w zawód naukowy rozpatrzenie się w niezmiernej nauk dziedzinie i pojęcie, czego potrzeba do uprawy nauk umiejętnej i samodzielnej.

Dr. Maksymiljana Müllera

profesora akademji Oksońskiej

Odczyty o umiejętności języka.

Dla polskich czytelników przerobił **Bronisław Trzaskowski.**

(Odczyt drugi.)

Umiejętność języka należy do nauk przyrodniczych. — Wzrost języka a historja języka.

(Ciąg dalszy.)

Rzućmy jeszcze raz okiem na to, co się zwykle historją języka zowie, a co raczej jego naturalnym wzrostem, albo jeszcze lepiej jego naturalną przemianą nazywać się powinno, a spostrzeżemy łatwo, że to głównie na działaniu dwóch zasad polega, któreśmy właśnie badali t. j. głoskowego upadku i djalektycznego odrodzenia czyli odrodzenia w narzeczach. Weźmy za przykład romańskie języki. Nazywają je zwykle synami łacińskiego. Nie mamy nic przeciw przenoszeniu nazw ojca i syna na języki, lecz wystrzegać się trzeba, aby te proste i jasne wyrazy nie służyły za pokrywkę ciemnym lub niedokładnym pojęciom. Nazywając język włoski synem łacińskiego nie przyznajemy przez to językowi włoskiemu nowej podstawy żywotnej. Ani jednego nowego pierwiastku nie utworzono dla włoskiego języka. Język włoski jest to język łaciński w nowej postaci; język włoski jest to nowy łaciński, a łaciński stary włoski. Nazwy ojca i syna oznaczają tylko rozmaite okresy wzrostu jednego w istocie czyli substancji swej niezmiennego języka. Mówić o łacinie, że umierając dała życie potomkowi swemu, jest czystym mitem; i nie trudno byłoby dowieść, że język łaciński jeszcze długo potem żył, kiedy włoski już dobrze biegać umiał. Musimy tylko przyjść do zupełnie jasnego pojęcia, co to jest łacina. Klasyczna łacina jest to jedno z tych wielu narzeczy, którem aryjscy Italji mieszkańcy mówili. Było to narzecze krainy Latium zwanej, w Latium narzecze Rzymu, w Rzymie narzecze patrycjuszów. Ustalił je Liwjus Andronikus, Ennjus, Newjus, Kato i Lukrecjus, wydoskonalili Scypjonowie, Hortensjus i Cycero. Było to język pewnej klasy, pewnego politycznego stronnictwa, pewnej grupy literatów. Aż do ich czasów musiał język Rzymu być bardzo chwiejny i zmienny. Polibjus opowiada (III. 22.) że nawet uczeni Rzymianie traktaty między Rzymem a Kartaginą z trudnością rozumieli. Horacy przyznaje (Ep. II. 1. 86), że nie rozumiał starych salijskich pieśni. Kwintyljan mówi (I. 6. 40.) że salijscy kapłani ledwie rozumieli swoje święte hymny. Gdyby plebejusze nad patrycjuszami byli wzięli górę, inną postać byłaby przybrała łacina od tej, której używał Cycero i wiemy dobrze, że sam Cycero wychowany w Arpinum wiele powiatowszczyzn n. p. opuszczania głoski *s* na końcu słów, odzwyczaić się musiał, gdy w najwyższe towarzystwo rzymskie wchodzić i dla nowych swych szlacheckich przyjaciół pisać począł. Skoro łacińskie narzecze stało się językiem religji, prawodawstwa, literatury i ogólnej oświaty, straciło płynną ruchomość narzeczy i stanęło niejako w swoim sztucznie zbudowanym basenie. Nie mogło dalej rość, gdyż nie wolno mu było zmieniać się, ani od swej klasycznej poprawności w niczem odstąpić. Łacinę tę, która jak każdy język dalej rozwijać się chciała, nawiedziła jak dwulicowy potwór klasyczna augustowskich czasów literatura. Piśmienne narzecza czyli tak zwane klasyczne języki muszą zawsze swą chwilową wielkość nieuniknionym przepłacić upadkiem. Są to jeziora stojące obok żwawo płynących strumieni. Przyjmują one w swą kotlinę wszystko, co było pełnym życia językiem, ale prąd główny już przez nie nie idzie. Niekiedy może się zdawać, jakoby cały prąd języka ginął w tych jeziorach i zaledwie małych tylko dopatrzeć się można poników, które głównem łożyskiem dalej się sączą; lecz kiedy dalej ku dołowi rzeki t. j. w poźniejszym historji okresie znowu na nowy stojącego języka zbiór natrafimy, co się albo tworzy albo już utworzył, to niezawodnie właśnie owe drobne przez niejaki czas przed wzrokiem naszym prawie kryjące się poniki zlały swe wody do owej kotliny. Język klasyczny czyli piśmienny da się także z zamarzłą powierzchnią rzeki porównać, która aczkolwiek lśniąca i jak kryształ gładka, jednakowo drętwa i zimna jest. Tę lodową pokrywę wygładzonego i wykształconego języka łamią częstokroć polityczne wstrząśnienia i porywają z sobą wydobywające się z pod niej fale. Dzieje się to wtedy, kiedy religijne lub społeczne walki kruszą wyższe klasy, lub gdy te klasy chcąc odeprzeć najezdców swej narodowości łączą się znowu i mieszają z niższemi społeczeństwa warstwami. W czasach, kiedy piśmiennicza czynność zaumiera, kiedy pałace płoną, klasztory łupem chciwości a przybytki nauk pastwą wandalizmu się stają, wtedy wzbierają gminne albo jak je zwykle nazywają proste narzecza, które dotychczas pod lodową piśmiennego języka pokrywą nieznacznie się sączyły i porywają z sobą, jak wiosenne wylewy, uciążliwe tamy, które im miniony czas stawiał. W spokojniejszych czasach wytryska nowa i ogólniejsza literatura w takim języku, który przez zdobycze i wstrząśnienia utworzonym się zdaje, w istocie zaś już dawno przed tem wzrósł i gotowy w sobie historycznym wypadkom tylko wydobycie na wierzch zawdzięcza. Postawiwszy się na takiem stanowisku nie możemy o żadnym piśmiennym języku powiedzieć, że był ojcem innego języka. Skoro tylko jaki język swą zdolność do nieograniczonej zmiany, swą obojętność na wszystko, co traci, i swą gotowość do chwilowego wszelkim umysłu i serca potrzebom zadosyćuczynienia uroni, to wtedy niezawodnie

przechodzi jego naturalny żywot w sztuczne tylko istnienie. Będzie on jeszcze jakiś czas żył, ale nie będzie to już odrośl soczysta i zdrowa, jak się na pozór być zdaje, ale schnąca gałęź, co prędzej czy później odpadnie od pnia, z którego wyrosła. Źródeł włoskiego języka nie w klasycznej Rzymu literaturze, ale w gminnych Italji narzeczach szukać należy. Dzisiejszy język polski nie powstał wprost i jedynie z języka wielkopolskiego Piasta i Chrobrego, ale z narzeczy małopolskiego, szląskiego, mazowskiego, kujawskiego, pomorskiego, połabskiego, ruskiego i innych, któremi na obszernych państwa polskiego ziemicach mówiono, a które od zachodu giermańskim i łacińskim, od wschodu cerkiewnosłowiańskim i greckim wpływom ulegały. Język angielski nie wyrósł z samego tylko anglosaskiego z okolicy Wessex, ale ze wszystkich po całej Wielkiej Brytanji używanych narzeczy, które się nie tylko miejscową odszczególniły różnicą, ale i wpływem łaciny, duńszczyzny, normańszczyzny, francuszczyzny i innych obcych żywiołów w rozmaitych czasach zmodyfikowane zostały. Niektóre jeszcze dzisiaj żyjące miejscowe narzecza polskiego, angielskiego lub niemieckiego języka, są dla krytycznych badań tych języków niezmiernej wagi. Język hindustański nie jest synem Sanskrytu, jaki w Wedach i późniejszej Brahmanów literaturze znajdujemy; jest to gałęź żyjącego Indjan języka, która z tego samego pnia wyrosła, co sanskryt, gdy tenże po raz pierwszy jako piśmiennie niezawisły wystąpił.

Słysząc mię w ten sposób wyjaśniającego istotę narzeczy jako źródeł językowego strumienia, pomyślał może niejeden z słuchaczów moich, że znaczenie tych narzeczy za wysoko cenię. Prawda, że mając inny cel na oku nie trudno byłoby mi pokazać, że bez piśmiennego wykształcenia nie nabyłby język nigdy owego pewnego, stałego charakteru, co do udzielania myśli potrzebnym jest, żeby nigdy nie spełnił swego wzniosłego zadania, lecz pozostał na zawsze bezładną lękliwych Troglodytów gadaniną. Gdy atoli wartość piśmiennych języków nie tak łatwo da się zapoznać, a wysokiego narzeczy znaczenia, o ile wzrost języka utrzymują, nie wykazano jeszcze należycie, dla tego zdawało mi się stosowniejszem zatrzymać się dłużej przy korzyściach, jakich narzecza piśmiennym językom dostarczają, niż rozwodzić się nad dobrodziejstwami, które narzecza piśmiennemu językowi zawdzięczają. Oprócz tego było wyświecenie wzrostu językowego głównym odczytu tego zadaniem, a w tej mierze nie można ukrytego ale ustawicznego wzrostu narzeczy za wysoko cenić. Wydalmy tylko język z jego ojczystej ziemi, oderwijmy go od narzeczy, co go zasilają, a natychmiast ustanie jego naturalny wzrost. Głoskowe zepsucie będzie się coraz bardziej szerzyć, ale odnawiający djalektycznego odrodzenia wpływ ustąpi. Język, który Norwegscy wychodźcy do Islandji przynieśli, pozostał przez 7 wieków prawie niezmienny, gdy tymczasem na ojczystej ziemi wśród miejscowych narzeczy w dwa odrębne rozrósł się języki, szwedzki i duński. Dowodzą, że w 11. wieku w Szwecji, Danji i Islandji jeszcze tym samym mówiono językiem, i nie można tego przypisać ani obcym zdobyczom, ani zlaniu się ojczystej krwi z cudzą, dla czego w Szwecji i Danji język się zmienił, a w Islandji nie.

Zaledwie sobie wyobrazić zdołamy, jak obfitego zasiłku dostarczają narzecza. Jeżeli w piśmiennym języku jaki wyraz spowszedniał, podają mu narzecza jego natomiast pięćdziesiąt innych, chociaż takowe różne odcienia tego samego pojęcia wyrażają. Są nietylko miejscowe i prowincjonalne narzecza, ale i pewne niektórym tylko klasom właściwe wyrażenia. Mamy n. p. pełno słów, których tylko pasterz, żołnierz, rybak lub rolnik używa. Polski język strzelecki ma, że tak powiem, swój odrębny słownik, którego się nie chcąc być wyśmianym lub wedle praw myśliwskich ukaranym dobrze nauczyć trzeba. Niezawodnie wstydziłby się rolnik, skotarz lub myśliwy użyć tak ogólnego wyrazu jak n. p. młode, którym język piśmienny wszelki płód zwierzęcy oznacza. Język koczowców mieści, jak Grimm mówi, pełno rozmaitych wyrazów na miecz, broń, i chów bydła w każdem położeniu; rozmaitość ta zdaje się w stanie oświeconem uciążliwa i zbyteczna: spółkowanie, płodność, rodzenie, umieranie, zabijanie wyraża się przy każdem bydlęciu w inny sposób, podobnie jak myśliwy chód i członki ciała każdego zwierza inaczej nazywa. Oko tych na wolnem powietrzu żyjących pasterzy sięga dalej, ich ucho słyszy lepiej; jakżeby ich mowa nie miała w każdym względzie, nabyć pełni i zmysłowości?

Co zaś w niniejszym odczycie szczególnie udowodnić pragnę, to jest ta okoliczność, że żadna z tych przyczyn, które wzrost języka sprawiają, albo jak inni utrzymują, jego historję stanowią, nie jest w mocy człowieka. Głoskowy upadek języka nie jest rezultatem samego przypadku; zawisł on od pewnych praw, jak to zobaczymy, gdy do badania zasad porównawczej gramatyki przyjdziemy. Lecz i te prawa nie są dziełem ludzkiem, i owszem muszą im ulegać ludzie nie domyślając się nawet ich istnienia.

W wyroście nowszych romańskich języków z łacińskiego widać nie tylko ogólną dążność do uproszczenia, nie tylko wrodzony wstręt od natężenia, z jakiem wymowa niektórych spółgłosek a jeszcze więcej całych grup spółgłoskowych jest połączona, lecz można także wykazać pewne w każdym z tych języków prawa, które nam twierdzić pozwalają, że n. p. w języku francuskim łacińskie *patrem* całkiem naturalnie na *père* zmienić się musiało. Końcowe *m* traci w narzeczach romańskich zawsze swój dźwięk i traciło go po części już w języku łacińskim. Tym sposobem schodzi *patrem* na *patre*. Dalej wypada w języku francuskim łacińskie *t* między dwiema samogłoskami w takich słowach jak n. p. *pater* bez wyjątku. Jest to powszechne prawo, a na mocy tego prawa możemy zaraz wnosić, że *catena* na *chaine*, *latrones* na *lairons* przejść musiało, z *fata*, późniejszej formy żeńskiej do nijakiej *fatum* powstało *fée*, z *pratum* (łąka) *pre*. Z *pratum* utworzono *prataria*, które w francuskiem na *prairie* przechodzi; w podobny sposób utworzono z *fatum fataria*, po angielsku *fairy*. Tak tedy musi się każdy łaciński imiesłów na *-atus* n. p. *amatus* w francuskiem na *é* kończyć. To samo prawo zamienia więc *patrem* na *père*, *matrem* na *mère*, *fratrem* na *frère*. Na mocy prawa, które końcowe głoski najprzód osłabia a potem gubi, powstało w języku polskim z pierwotnego brater brat, z pierwotnego macierz mać; w pochodnikach braterski, macierzyński zachował się cały pierwotnik, bo go przyrostki od zatarcia chroniły. Na mocy innego prawa tegoż języka, według którego samogłoska z następującem po niej *n* lub *m* na końcu słów i przed spółgłoską na *ą* lub *ę* przechodzi, przemieniło się pierwotniejsze *rankam* na *rękę*, *pijam*(*i*) na *piję*, *pijan*(*ti*) na *piją*, *swant-y* na *święt-y*, *an-ski* na *wą-ski* (poró-wnaj łacińskie *ang ustus*), *ang-iel* na *węg-iel* (łać. *ang-ulus*) *wonchać* (porów. *woń*), *dùmć* na *dąć*, (porów. *dm-ę*) *szilling* na *szeląg* i t. p. Przemiana ta idzie powoli ale bez ustanku, a co najważniejsza, nie zależy ona wcale od woli narodu.

Wzrost narzeczy leży atoli także poza obrębem kontroli indywiduów. Albowiem chociażby poeta z wiedzą i wolą tworzył nowe słowo, to jednak przyjęcie tego słowa i nadanie mu, że tak powiem, obywatelstwa, zależy od okoliczności, na które pojedyńczy człowiek nie wpływa. Są niektóre nowe utwory w gramatyce, które się na pozór jakby kaprysem mówiącego wydają. Przypuściwszy n. p. że uronienie łacińskich końcówek było w językach romańskich naturalnym wynikiem opieszałej wymowy; przypuściwszy, że dzisiejsze wyrażenie francuskiego gienitywu za pomocą *du* całkiem naturalnie z łacińskiego *de illo* powstało, to jednak wybór tego *de* a nie innego przyimka do opisania genitywu i zaimka *illo* a nie innego dla oznaczenia rodzajnika mógłby się zdawać dowodzić, że naród w rozwoju swego języka według własnej postępował woli. A przecież tak nie jest. Żadna osoba nie byłaby się nigdy sama z siebie odważyła stary łaciński gienityw usunąć a na jego miejsce opisanie wyrazem *de illo* postawić. Niedogodny brak pewnego wyróżniającego znaku na gienityw musiał się naprzód koniecznie dać uczuć ludowi, który mówił gminnem narzeczem łacińskiem; musiał ów lud przyimka *de* w taki sposób używać, że o jego pierwotnem miejscowem znaczeniu zupełnie zapomniał (porównajmy Horacjuszowskie *una de multis* zamiast *una multarum*); musiał także ów lud uczuć brak rodzajnika i używać *illo* w wielu

wyrażeniach, gdzie zaimek ten swe pierwotne zaimkowe znaczenie już był utracił; musiały wszystkie te warunki pierwej być wypełnione, zanim jeden człowiek, a po nim drugi a dalej sta, tysiące i miliony owe *de illo* za wyraz gienitywu użyć i na włoskie *dello, del* i francuskie *de l'*, *du* zamienić mogły.

(D. n.)

Chłopoman.

Duchom mych braci, którzy krwią swoją zrosili ziemię Sołowjówki
poświęcam te kartki.

I.

Nie objętą płaszczyzną legł step Ukrainy: dwa światy ma po stronach obu; stopy mu fala opłukuje morska, a siwą głowę schował w puszcz ostępy, i nasłuchuje pilnie, i patrzy dokoła!...

To nie ziemi przestrzeń — myśl tu legła boża. Ten step olbrzymi — to serce miljonów, w niem duch ludzkości obrał swą siedzibę; a wieków gromy biją w serce - ducha, a ile mogił — tyle ciosów było!

Tędy przemocne płynęły plemiona; step widział hordy co świata potęgę-Rzym starły, gdyby dziecinną zabawkę... Step widział wiele! a widzieć ma więcej, bo w nim duch mieszka, a ten w potęgę zbrojny, i wielkość — jemu na usługach, korna.

Przez wieki tutaj toczą bój dwa światy; a dnia wielkiego dożyją miljony, gdy ku Wschodowi czarne chmury pójdą i nad ziemicę Słowian wzejdzie jasne słońce, i życie w koło rozsieje i szczęście!

Wielki dzień jutra przed nami, miljony!

Jedną mogiłę step przyjmie do siebie, lecz ta mogiła będzie już ostatnią, wróg w niej polegnie — i nie wstanie nigdy!

Wielka godzino! nim na zegarze wybijesz przeznaczeń — patrz na krew naszą: im obficiej płynie — tem bliższa chwila twego na świat przyjścia, tem bliższy koniec męczarni.

Lejcie się łzy, płyń krwi! Hozanna dniowi wyzwolenia!

. . . .

Swobodo! czy istniesz ty w naturze! Wolności! gdzie jesteś? A szczęście!... szczęście... czyli tylko w niebycie spoczywa!...

Tajemnicza siło wszechbytu! — o, na poddaństwa stopniach stoisz wywyższona!... nie znasz równości i panujesz — sama...

Ale my chcemy śnić, chcemy się łudzić...

Szczęście istnieje! — wolność! — swoboda!... marzymy...

. . . .

Nie mamy na to pieczętnych pargaminów, świadkowie dawno spruchnieli w mogiłach, śladu nie widzim i nie masz go nigdzie, — a jednak głos jakiś, z wewnątrz nas, czy z za nas, mówi: że byli kiedyś braćmi ludzie, że ojciec — tylko miał szacunek syna i miłość jego, za miłość ojcowską; że szczęście kiedyś było na tej ziemi.

Ale to chyba nieprawda być musi! Gdzie ino spojrzysz — wszędy sługi, pany; wszędy niewolnik, albo władca możny; jeden przed drugim schyla głowę kornie, jeden drugiego gniecie i uciska... Kłamie, z pewnością, ten głos jakiś dziwny! — Tak było zawsze, jako jest teraz... Tak będzie zawsze — bo mądrze jest i dobrze!...

Więc mądrość waszą rozciągnijcie dalej, waszej dobroci nie stawiajcie tamy; niech słońce świeci tylko panom możnym, sługom nie trzeba powietrza ni wody, nie im to patrzeć na błękity nieba, nie im szczebiotu słuchać ptasząt bożych... Wy miejcie wszystko — my nic — będzie dobrze i mądrze będzie, sprawiedliwie — powie ołtarza sługa i kapłani wiedzy, od was płatni...

Ach, dla was wszystko! — dla nas nic...

O, wielcy! Uczyńcie byśmy istnienia nie znali — wtedy my wszystko będziem mieć — wy — nicość!

* *
*

W pałacu zbytki, a w lepiankach nędza; w pałacu jeden, w lepiankach tysiące. Tysiąc jednemu daje pracę życia, a jeden dla nich ma pogardę, plagi.

Mądrze i sprawiedliwie!

W pałacu śmiechy i wesołe pląsy. Pan hrabia dziedzic wstąpił w związki święte — wziął ślub z miljonem, w dodatku kalekę, której za miljon dał czczy tytuł — żony.

W wiosce coś smutno. Bydło człowiecze w gromadki się zbiera; kiwają głową, trą kułakiem oczy — doprawdy śmiechu warta taka scena!

Przyszli do chaty starego Maksyma; ci w drzwiach stanęli, tamci w okna patrzą — głową kiwają, ocierają oczy...

A w chacie także nie cicho, coś spiewno; ah, to Maksyma stara żona śpiewa — zawodzi, płacząc straty swojej córki. A Maksym stary bije głową w ściany, i wierna psina wyje, wtórząc starym.

Na tarczanie w bieli leży Nastia kraśna. Była to w wiosce cudo krasawica. Sto chłopców do niej przysłało ręczniki, trzy wioski wkoło i czwarte miasteczko mówiły tylko o córce Maksyma.

Śliczna-ż bo była Maksymowa Nastia; jak mleko biała, a rumiana w liczku; jak brzózka giętka, a cieniutka w pasie; iskrzące oko czarne; a rusiawa, kiedy bywało rozpuści warkocze i skokiem pójdzie po ulicy wioski — to ty byś myślał, że to dziewcze skrzydła, albo, że jasne płyną za nią rzeki.

Oj, piękną była Nastia krasawica, a dla rodziców ona łaską bożą. To też kochali, kochali ją wielce! — Ich jedynaczka, a starzy nad grobem!

Jeden i drugi i dziesiąty chłopiec marnieje, wzdycha, daje podarunki — żaden nie ujął Nastinego serca; byli bogaci, byli i ubodzy, ładni, ładniejsi — kozacy jak trzeba! — żadnego sobie nie spodoba Nastia! Aż poszła sława po wiosce i dalej, że dziewczę serce chyba ma kamienne, że nie dla Nasti serdeczne kochannie!

A tu inaczej zrządził dopust boży!

Ot co tu mówić, co rozprawiać długo.

W lesie gdy kwiaty brała i poziomki, spotkał młodzieniec śliczny młodą Nastię. Pięknie tak mówił i prosił tak czule, że mu nie mogła odmówić dziewczyna; spojrzała mile, przemówiła słodko; podała rękę, niby pańska, małą... zczarował śliczny młodzieniec dziewczynę! — Musiała przyrzec, że się zejdą jutro. Ta i jak nie przyjść gdy tak błogo z miłym!...

Kto serce odgadł i kto jego panem!... Jak tam gdzieś, w górze, przykażą kochaniu, to żaden rozum, nic nie wstrzyma serca.

Nastia kochała długo, szczerze, bardzo!

On jej tak pięknie mówił o kochaniu, tak czule patrzył swem błękitnem okiem, takie gorące tych ust całowanie... Dziewczę o sobie wtenczas zapomina — jakaż dziwota, że nie zapytała: kto jej serdeczny? komu dała duszę?...

O! serce ludu nie bije w takt liczby, — o! serce ludu nie zna zastanowień! Świętości pełne — oddaje się całe, o zdradzie nie wie i jej się nie lęka.

Słodko minęły chwile w zapomnieniu — miłość nie dała spojrzeć w koło siebie. A przeminęły...

Po dwóch miesiącach miły znikł bez wieści! Dziewczęcą sławę wziął z sobą i serce. O! nie żal męki — niechby nawet w piekło! tylko przyjdź, powiedz: kocham ciebie Nastiu!

Nie przyszedł.

I cień pozostał z hożej krasawicy — Sercu nie życie bez miłego, duszy i w niebie tęskno za kochaniem! I jak żyć w świecie, gdy zwiędło serdeńko, co, jak kwiat rosy, pragnie słów miłości!...

Poczęli w wiosce mówić coś o panu. Że z za granicy powrócił dalekiej i w wielkiem mieście przebywał czas długi — inni mówili, że gdzieś był w sąsiedztwie, a wszyscy razem, że z żoną tu jedzie, by jej pokazać swoje posiadłości.

W niedzielę rano zebrana gromada, we wrotach wioski, witała swych państwa, chlebem i solą, jak obyczaj każe.

Pan ruble rzucił na tacę w podziękę, pani się jakoś skrzywiła nieboga; już mieli wsiadać nazad do karety, gdy wykrzyknienie wstrząsnęło obecnych — Ta Nastia bieży z rozpuszczonym włosem, w objęcia chwyta młodego dziedzica.

— Ty! ty — mój drogi!... I w całunku tonie!...

Zadrżał pan hrabia i hrabini zbladła; ale miał siłę odtrącić dziewczynę.

— Precz ty szalona! Żono, służę tobie.— I znikli wkrótce w alei pałacu.

Dziewczę załamie wychudzone ręce.

›Precz... żono... miły‹ szepcze niewyraźnie; wreszcie się śmiechem zalała serdecznym... I zanim słońce skryło się za góry, zanim w pałacu tany rozpoczęto — w Maksyma chacie trup córki był gościem, a dusza Nasti płynęła gdzieś w niebo..

W pałacu bal się skończył za dwie noce; mówiono dziedzic bawił się ochoczo — dwie doby Nasti trup leżał w lepiance.

A dnia trzeciego wypadło grześć trupa; więc w cztery deski zamknięto dziewczynę, wianek na wieko położono trumny, na mary wzięto krasawicę Nastię, i niosą dziewczę na spoczynek wieczny.

Pan hrabia z żoną wyjechał na spacer. Konie z zakrętu wpadają na pogrzeb, i o szczególna fatalność! z rozbitej trumny pada trup dziewczyny i wprost w ramiona pana Hrabi, który wypadł z powozu, niesionego końmi.

Czy i trup jeszcze wierną miłość chowa!

Nie mała trwoga, lecz złość jeszcze większa.

— Łotry! wykrzyknął, podnosząc się z ziemi.

— Djabli was tutaj wypchnęli przed konie!...

I ból ma miarę, która gdy przebierze, to już go w piersi nie wstrzymasz — rozsadzi!..

I Maksym stary i gromada wioski, jak jeden człowiek, krzykli głosem grzmiącem:

— To trup chrześcjański!

— Trup to mojej córki!

— A jej zabójcą — tyś, wielmożny grafie!

Jak piorun zagrzmiał głos kozaka Chwedia. A Chwedio kochał całą duszą Nastię, i dzisiaj wrócił z wędrówki dalekiej, by spotkać — trumnę i zabójcę miłej.

Ni chmura czarna groźniejszą nie bywa, gdy piorunami ma za chwilę strzelić; ni wód straszniejsze zbiorowisko w rzece, które zatopić ma siedzibę człeka — jako jest strasznym głuchy okrzyk ludu, gdy w nim cierpliwość jego męczarń rwie się.

Tylko wstawienie starca Dobrodzieja, a z tem pospieszna ucieczka hrabiego, uratowały żywot jego pański.

Pan hrabia zniknął; pogrzeb wszedł na cmentarz. I pod mogiłą spoczęła dziewica; a duch jej patrzy na rodzinne sioło i płacze łzami krwawemi, choć w niebie.

A już o świcie wielki sąd we wiosce. Sąd to nie boży, nie szatanów z piekła, ale siepaczy płatnych przez wielmożnych — katów, przez kata wziętych do pomocy.

Pan hrabia buntem nazwał cierpień mowę, o bunt oskarżył bydło swego sioła — więc sto bagnetów do usług mu staje, wściekłych psów sfora, urzędem przezwana. I był sąd straszny...

O, niech wam za to nie będzie karania! niech wam zapomną ciężkiej krzywdy naszej — bo gdyby miarą przyszło dać za miarę — to piekła męki byłyby za małe, i nowi czarci, z waszych dusz powstali, — słusznie dopiero skarać by was mogli!

Krew się polała pod razami zbirów, tem winna tylko, że była mużycka. Pod knutem oddał Bogu ducha Maksym, pod knutem zemdlał cztery razy Chwedio, ale cham kości musiał mieć kamienne, bo psiego ducha zatrzymał w swem ciele. Więc do szpitalu poszedł by ozdrowieć, a później, w ciężkie żelaza zakuty — pójść wolnych ludzi mordować w Kawkazie.

Ponura cisza zaległa gromadę; głęboko w duszę ryły się im plagi, i krew z męczonych kipiała im w sercu.

Urząd z powagą patrzył na karanie, pan hrabia uśmiech miał na bladych ustach... Nie wiem czy w niebie śpiewano ›hosanna!‹

Trupa ponieśli zachować do dołu; Chwed' do szpitala w prześcieradłach niesion... W pałacu kasę otworzył graf jasny, garściami złoto urzędnikom dawał, którzy mu do nóg zginali kark giętki.

I wkrótce pustka zasiadła w pałacu: z wojskiem, zbirami odjechał pan hrabia, by módz w salonach głosić o podłości plemienia chamów, co nie pamiętne wiekowych łask pańskich!

A w liczbie innych, za filarem ganku, porowno z psami, zaczajone w cieniu, sądu i kary świadkiem było dziecię — małe wilczątko-sierota, na łasce, któremu szczątki dawano z półmisków, po-lokajskimi okrywając łachy.

Był świadkiem sądu i łagodnej kary, widział przez szparkę ukłony urzędu, gdy hrabskie złoto kładł do długich kieszeń.

I psiątku temu łza zabłysła w oku, a gdy w dziedzińcu pozostał sam jeden — we krwi umaczał dłoń swą i nią czoło, niby olejem święconym, pomazał... a później uciekł w parowy nad rzekę, i długo w niebo patrzył modrem okiem, a łzy gorące płynęły po licu.

Wilczku sieroto! nic z ciebie nie będzie. (D. c. n.)

ZMARTWYCHWSTAJĄCA!

I wyszła z grobów blada i rzekła: „ja żyję!“
I wszystkie ludy na nią obróciły oczy,
Wstała jasna z krwi morza, co się z ran jej toczy,
I dawne swoje rany świeżą krwią odmyje.

Całe piekło szatanów w grób ciśnie ją czarny,
Lecz stoi niewzruszona ludów męczennica,
Święta i pełna wdzięku jako kwiat ofiarny
Jak w obłokach tonąca świętego źrenica!

Stoi nieporuszona, a taka samotna,
Jak sierota co błądzi z boleścią po świecie.
Spijcie, o! spijcie ludy, kiedy spać możecie,
Gdy dla waszej wolności umiera ochotna.

Krew jej i jęki bolu niech na wasze głowy
Spadną dzikim przekleństwem, i przez wszystkie lata
Niech was srogich tyranów ściskają okowy,
Bądźcie podli, nikczemni, aż do końca świata.

Liżcie stopy tyranów, całujcie ich dłonie,
Ona się tylko jedna urąga przemocy.
Nad wszystkie ludy świata cierniem strojne skronie
Wznosi dumna i wielka, jak łuna wśród nocy.

Jak jutrzenka przed słońcem zakrwawia obłoki.
I na ziemię uśpioną wiedzie światła morze,
Tak i Ona nieszczęsna przez krwi swej potoki,
Wyprowadzi dla świata jasne słońce boże!

Jak gwiazda, co wśród nocy czarną strzeń rozświeca,
Brylantowe połyski w świat rzuca ponury,
Ona czarne przesądów rozszarpuje chmury,
Jak gwiazda świeci ziemi ludów męczenica.

Stoi blada, samotna, z ran krwi biegą rzeki,
I walczy, jak anioły z czarnych światów księztwem,
Biada! biada wam ludy, gdy zginie z przeklęstwem:
„Bądźcie podli — nikczemni — nikczemni na wieki!"

Adam Żminkowski.

Lwowska szkoła przygotowawcza
nauczycieli szkół elementarnych.

(Dokończenie.)

Przypatrzmy się bliżej temu wykładowi języka niemieckiego. Udziela go p. G., dyrektor szkoły głównej, z gramatyki przepisanej do trzeciej i czwartej klasy, a udziela w ten sposób, iż bez wszelkiego objaśnienia zada lekcję „ztąd — dotąd" do wyuczenia się na pamięć. Następnej godziny odbywa się egzaminowanie. Uczeń recytuje wyuczoną na pamięć lekcję, oczywiście bez najmniejszego zrozumienia rzeczy, przyczem p. G. żąda czasem objaśnień, których, jak powiedziano, poprzednio nie udzielił, a gdy zapytany objaśnienia nie da, p. G. oświadcza: „Ja panu powiem — ale to kosztuje klasę." Za winę profesora odpowiada w ten sposób uczeń. P. G. radzi kupować i czytać inne obszerne gramatyki. Gdy jednak wszyscy uczniowie szkoły przygotowawczej utrzymują się z lekcyj, za które biorą 2 a najwięcej 3 zł. miesięcznie, żaden więc z nich nie jest w stanie kupić takiej książki. Zresztą uczeń powinien się jak najwięcej nauczyć w samej szkole. Obowiązkiem przeto nauczyciela jest, objaśnić przedmiot jak najdokładniej, ażeby uzupełnić braki przepisanej książki.

Oprócz gramatyki robią się dyktaty i zadania. Zadania pisemne wyrabiają uczniowie w domu i przynoszą potem do klasy. P. G. podanych w ten sposób zadań nie przegląda i nie poprawia, ale dyktuje z jakiejś książki gotowe już wyrobienie i każe wszystkim odpisywać. Tym sposobem podane na popisie zadania są wszystkie jednakowe, tak że ani sam p. G., ani inspektor lub scholastyk nie może poznać postępów egzaminantów, ani ocenić ich zdolności.

Metodyka jest najważniejszym w tej szkole przedmiotem. Mimo to wyznaczono na nią tylko jedną godzinę tygodniowo, i choć wszystkie inne przedmioty udzielane bywają po polsku, najważniejszy ten przedmiot wykłada się w języku niemieckim — z książki dosyć obszernej, ale czasem śmiesznie drobnostkowej — n. p. znajdujemy w niej między innemi cały rozdział o tem, jaką powinna być powierzchowność nauczyciela, który żadnej fizycznej ułomności mieć nie powinien, by nie być celem pośmiewiska uczniów. Mniejsza o ułomności umysłowe! Dla czego metodyka jest wykładana w języku niemieckim — nie pojmujemy — chyba dla tego, by wiedeńskiemu księgarzowi większy zapewnić odbyt.

P. G. wykłada prócz niemieckiego i metodyki oraz i rolnictwo. Przedmiot ten bardzo ważny i potrzebny udzielają podług katechizmu rolniczego Darowskiego, który za mało zawiera wiadomości, by dostatecznie z niego się nauczyć. Do uzupełnienia tej nauki przyniósł p. G. jakąś bardzo starą niemiecką książkę, zawierającą przepisy robienia szynek, warzenia piwa, fabrykowania tytoniu z liści burakowych *(sic!)* i t. p. i jakąś niemiecką ogrodniczą gazetę z roku — *risum teneatis amici* — 1816! Ale jakże żądać, by w takiej szkole uczono postępowego rolnictwa, jeżeli niedawno, bo już tego roku, a zatem w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, ktoś zajmujący wysokie w społeczeństwie stanowisko, oświadczył publicznie, iż rolnictwo od czasów Wirgilego nie postąpiło ani o krok naprzód!

Wszystkich przedmiotów udzielają nauczyciele szkoły głównej normalnej. Jest to także bardzo niestosowne. Ludzie mający przygotować nauczycieli szkół wiejskich, powinni stać sami na wyższym stopniu oświaty, niż nauczyciele szkół normalnych. Powinni być ludzie bardziej wykształceni, znający coś więcej prócz samej gramatyki i rachunków, którzy ukończyli wyższe szkoły, a nie samą tylko „preparandę".

Dyrektorem szkoły przygotowawczej jest p. G. dyrektor szkoły głównej. Jest on samowładnym w niej panem, a rządząc się osobistem upodobaniem lub niechęcią; nie znając zdolności ani postępów uczniów — bo o to mu wcale nie chodzi — popiera i forytuje tych, którzy mu jakąś oddadzą przysługę i kieruje całą szkołą w sposób najniedbalszy w świecie — byle się tylko pozbyć.

Rozpisaliśmy się obszerniej trochę o tej szkole, wglądnęliśmy w wewnętrzne jej życie, i dotknęli przeto dosyć drażliwych spraw — ale sądzimy, iż sprawa ta jest bardzo ważną i naglącą. O jakichkolwiek postępach oświaty ludu mowy być u nas nie może póty, póki szkoła przygotowawcza nie będzie stanowczo i radykalnie zreformowana i oddana pod zarząd ludzi prawdziwie wykształconych, ludzi z poświęceniem, którzyby pojęli całą ważność swego zadania i potrafili godnie mu odpowiedzieć. Sprawa ta żadnej nie cierpi zwłoki. Kto czuje moralną i materjalną nędzę naszego ludu, kto uznaje o ile zapobieżenie tej nędzy jest wymaganiem nie tylko sprawiedliwości, ale oraz i dobrze zrozumianego interesu ogółu, — kto rozumie jak kraj nasz coraz bardziej i bardziej upada głównie z braku oświaty i rozszerzenia jej na wszystkie społeczeństwa warstwy — ten się zgodzi z nami, iż reforma tych szkół przygotowawczych jest jedną z najbardziej piekących spraw. Dla tego na zakończenie niniejszego artykułu rzucimy tu parę myśli o reformie tych szkół. Choćby nawet myśli te okazały się może niepraktycznemi, a wymagania jakie stawiamy takim szkołom zbyt wygórowanemi, radzi jednak będziemy, jeżeli tych słów parę, które teraz kreślimy pobudzą specjalnych pedagogów do zajęcia się tą sprawą i wypracowania gruntownego projektu reformy, radzi będziemy, jeżeli w czytelnikach obudziliśmy to przekonanie, iż jest źle, bardzo źle. Bo obowiązkiem naszym jest wołać ustawicznie: źle jest — trzeba zmieniać i naprawiać — obowiązkiem naszym jest uderzać ustawicznie alarm, choćby nawet ludzie, którym bardzo wygodnie w dzisiejszym stanie rzeczy — zatykali uszy bawełną, by nie słyszeć wołania tych, którzy chcą postępu, by nie słyszeć dobywających się z pośród ludu jęków wywołanych moralną i materjalną nędzą, w jakiej on pogrążony.

Wychodzimy z przypuszczenia, iż będą wykonane dwa niezbędne warunki podniesienia tych szkół: 1) iż płaca nauczycieli wiejskich będzie podniesiona — 2) iż kraj na utrzymanie szkół w ogóle, a więc i szkół przygotowawczych nie będzie żałował miljonów, w tem przekonaniu, iż pieniądze te nigdzie nie mogą być tak płodnie, tak zyskownie użyte, jak w szkołach — bo naród nie może być bogatym, jeżeli nie jest oświeconym.

Naturalnem następstwem podniesienia płacy nauczycieli musi być to, iż i zdolniejsi ludzie będą się garnąć do szkoły przygotowawczej. Wtedy będzie można ściśle przestrzegać przepisu, iż do szkoły przygotowawczej mogą być przyjmowani tylko ludzie, którzy skończyli niższe gimnazjalne lub niższe realne klasy (naturalnie, że i wychowanie w tych szkołach nie może pozostać zawsze w obecnym stanie, ale będzie stosownie zreformowane).

W ten sposób przygotowani uczniowie przyjdą do szkoły zostającej pod zarządem nie ludzi, którzy także tylko „preparandę" ukończyli a potem przez lat kilkanaście uczyli dzieci gramatyki, — ale ludzi wykształconych, stojących pod tym względem na równi z profesorami gimnazjalnymi. Do zostania nauczycielem szkoły przygotowawczej trzebaby ukończyć wydział filozoficzny uniwersytetu, i zdać egzamin osobny ze swoich specjalnych przedmiotów przed osobno do tego wyznaczoną komisją. Ważnym takiego egzaminu przedmiotem byłaby pedagogika i metodyka.

Nauczyciele szkoły przygotowawczej powinni pobierać pensję taką, jaką pobierają nauczyciele gimnazjalni i mieć zupełnie toż samo co ci stanowisko w stanie nauczycielskim.

Przedmioty wykładane dzisiaj nie wystarczają wcale do wykształcenia dobrego nauczyciela wiejskiego. Pamiętajmy o tem, iż w szkółkach wiejskich nie dość jest uczyć dzieci czytać, pisać i rachować — nauczyciel winien codzień część czasu wyznaczonego na lekcje poświęcić innej nauce podanej w formie opowiadania. Powinien im opowiadać ustępy z dziejów powszechnych i ojczystych, przy czem dzieci powinny się dowiedzieć, jakie ich w społeczeństwie stanowisko i jakie obowiązki, — powinien w formie powabnych opisów zapoznać ich z geografją, powinien wyjaśnić im z życia przyrody najważniejsze zjawiska na jakie codziennie się patrzą — powinien i nauką i własnym przykładem zapoznać lud z postępowem gospodarstwem. Ażeby odpowiedzieć tym

wymaganiom i umieć dobrze spopularyzować tę naukę, musi nauczyciel wiejski wiele posiadać nauki — i nauka ta musi mu być udzielaną w przygotowawczej szkole w sposób taki, ażeby o ile możności najwięcej w szkole się nauczył, a w domu miał czas na dalsze rozwijanie nabytych wiadomości przez własne czytanie.

Dla tego plan nauki w szkole przygotowawczej musiałby być zupełnie zmieniony. Wspomnieliśmy już wyżej o niestosowności tego, iż język niemiecki zajmuje najwięcej czasu — należałoby więc zredukować ilość godzin przeznaczonych na naukę tego języka, a oszczędzone godziny oddać innemu ważniejszemu przedmiotowi, n. p. metodji, która powinna być wykładana w języku polskim. Uznajemy zupełnie stosowność i praktyczność tego, iż nauka języka ruskiego jest zarówno obowiązkową, jak język polski, i w tym względzie wszelka zmiana byłaby niesłuszną i niepraktyczną.

Rolnictwo powinno być wykładane przez człowieka fachowego, któryby znał wszelkie wymagania postępowego rolnictwa, a znał oraz dokładnie obecny stan rolnictwa u nas, szczególnie zaś gospodarstwo mniejszych włościańskich posiadłości, ażeby nie uczyć rzeczy niepraktycznych i niezastosowalnych do obecnego stanu rzeczy. Bo ulepszenie gospodarstwa małych posiadłości nie może być wykonanem za pomocą bezwzględnego przyjęcia wszelkich zasad postępowego gospodarstwa, ale musi się zostosować koniecznie do istniejącego stanu rzeczy. Dalej powinno być nauczane nie tylko wyłącznie rolnictwo, ale całe wiejskie gospodarstwo, a zatem leśnictwo, ogrodnictwo, pszczelnictwo, chów bydła i t. d.

Dalej koniecznem byłoby zaprowadzenie innych przedmiotów, których dotąd nie uczono. Jako takie uważamy: popularny wykład dziejów powszechnych i ojczystych, gieografji i nauk przyrodniczych. Nauki przyrodnicze powinny być wykładane przez ludzi specjalnych a to popularnie, ażeby uczniów szkoły przygotowawczej przyzwyczaić do takiego wykładu. Powinny one być uchwycone ze strony praktycznej. I tak w botanice zwrócić głównie uwagę na rośliny uprawne, zboża i rośliny pastewne, na drzewa owocowe i leśne, — w zoologji na wszystkie zwierzęta domowe — w mineralogji i geologji na skład ziemi uprawnej, i t. p. Z tegoż samego praktycznego stanowiska powinna być uchwycona fizyka, mechanika, astronomja i meteorologja.

W ostatnim kursie jako zaokrąglenie całej tej nauki należałoby wykładać ogólne zasady nauk społecznych, ażeby przyszły nauczyciel wiejski poznał ustrój społeczeństwa, którego czynnym członkiem jest tak on, jak i jego uczniowie, ażeby umiał ludowi wykazać jego w społeczeństwie stanowisko i wypływające ztąd prawa i obowiązki, i nauczyć lud, na podstawie jakich prawideł układają się stosunki gospodarskie społeczeństwa, od których głównie zawisł byt ludu.

Szkoła przygotowawcza powinna posiadać obszerną bibliotekę, złożoną głównie z dzieł popularyzujących naukę, ażeby uczniowie mogli z czytania dzieł tych uzupełniać szkolną naukę, a oraz nauczyć się z nich popularnego nauk wykładu. Bo jak wyżej powiedziano, wykład szkolny winien być tak urządzony, ażeby uczeń w szkole z samego wykładu nauczył się jak najwięcej, i miał w skutek tego czas wolny do czytania.

Dalej powinna taka szkoła posiadać muzeum przyrodnicze, z jednej strony do ułatwienia samej nauki umiejętności przyrodniczych, z drugiej zaś strony, by uczniowie nauczyli się sposobu nauczania przez naoczne pokazywanie.

Oto ogólne myśli reformy szkół przygotowawczych. Być może, że wymagania te wydadzą się zrazu wygórowanemi — ale są sprawy, w których nigdy dosyć wymagać nie można, są sprawy, na których wykonanie naród nigdy dosyć pieniędzy nie może wyłożyć, a taką sprawą jest oświata. Jest to także kwestja głodowa — a głód ten jeszcze gorszy i okropniejszy od głodu wynikłego z nieurodzaju. Z tego bowiem może wydobyć od razu dobrze urządzone wsparcie i jeden rok urodzaju — z tamtego wydobędzie tylko długoletnia praca; ten głód niszczy jednostki — tamten całe pokolenie, cały naród; ten niszczy nas na chwilę — tamten na długie, bardzo długie czasy. Dla tego trzeba raz stanowczo zerwać z dotychczasowym stanem rzeczy, trzeba stanowczo zreformować dotychczasowy sposób wychowania i na nowe sprowadzić je tory — a każda chwila stracona pod tym względem jest klęską narodową. Stoimy pod względem oświaty w tyle za całą Europą — a pamiętajmy o tem, co powiedział niedawno jeden ze znakomitszych francuzkich pisarzy: „Naród posiadający najlepsze szkoły, jest pierwszym narodem w świecie; jeżeli nie jest nim dzisiaj — będzie nim jutro.“

T. Romanowicz.

Korespondencje.

Kraków dnia 8 lutego 1866.

(Obłąkanie z nędzy. — Kilka uwag o Towarzystwie bratniej pomocy.)

Powiedział Wiktor Hugo niby nowinę, że gienjusz to kontrast. Tymczasem ten aksjomat stosuje się do każdego człowieka, do każdego społeczeństwa. I tak obecne u nas huczne karnawałowe życie pełne jest kontrastów tak rozdzierających, że gdybyśmy mieli panteon, należałoby posąg cywilizacji i ludzkości zasłonić krepą. Nawykliśmy oddawna do wszelakiej zgrozy, a jednak trudno powstrzymać się od krzyku przerażenia. Bo że u nas bieda, stagnacja wszelkiego zarobku, to rzecz ogólna spowodowana okolicznościami dalszemi. Ale są rzeczy szczególne, które dziś w Europie zdawałyby się niemożliwemi, a które jednak dzieją się, i to dzieją się w Krakowie osławionym z dobroczynnych zakładów, w Krakowie, owej *parva Roma* — chyba że dla zupełności podobieństwa będą już i u nas jak w Rzymie ludzie i psy z głodu po ulicach zdychać.. Zapiszcie wielkiemi głoskami: oto słuchacz techniki krakowskiej P... dostał z nędzy pomieszania zmysłów. Krótka to historja: z długotrwałej nędzy wyrodziła się bigoterja, a dalszem następstwem musiało być obłąkanie. Proletarjat inteligencji ręki wyciągać nie może, nie może się obnażać publicznie.. Ktokolwiek tu winien, czy koledzy, czy w ogóle społeczeństwo, niechaj oczy spuści... Jest to w ostatnich latach ósmy wypadek obłąkania pomiędzy młodzieżą, a były i samobójstwa. Jest to jedno ze znamion czasu.

Krakowskie Towarzystwo bratniej pomocy zostało także nareszcie zatwierdzone — 15 t. m. mają się odbyć wybory. Cóż jednak będzie z lwowską i krakowską techniką? Jeżeli nie osobne towarzystwa, co byłoby najlepiej, to powinny przynajmniej ukonstytuować się prowizorycznie na tych samych statutach jako oddziały towarzystw akademickich. Straszna to bieda z naszą techniką — ale o tem poźniej w dalszym ciągu poprzedniego listu.

Potrzeba, żeby Tygodnik był oficjalnym organem akademickich stowarzyszeń i za pośrednictwem jego winny być rozsełane wszelkie odnośne dokumenta i sprawozdania. Wiedeńskie towarzystwo bratniej pomocy ma na własność dwa dzienniki specjalne. Potrzeba również zawiadomić ogół, że te stowarzyszenia stawszy się już osobami moralnemi, są zdolne do odbierania wszelkiego rodzaju legatów i zapisów bądź to stale lokowanych bądź jednorazowych. Zatem jak swoich bezpłatnych doktorów, tak winny mieć swoich bezpłatnych adwokatów.

Dużo czasu upłynie, zanim te nasze towarzystwa będą się mogły wdać w większe finansowe przedsiębiorstwa. Zdaje się jednak, że pierwszą ich większą czynnością powinno być stosowne wznowienie dawnych burs; stosowne, to jest z opuszczeniem klasztornych przepisów. Należy więc wcześnie zająć się tem, żeby z przyszłym szkolnym rokiem towarzystwa mogły rozporządzać choć jednym domem odpowiednim na bezpłatne mieszkania akademickie. Gmina miasta Krakowa posiada wiele kamienic i zapewne pomocy swojej nie odmówi.

Uniwersytet krakowski podawał i o czytelnię akademicką, jako osobną instytucję autonomiczną, ale podrzędną pod Towarzystwo bratniej pomocy. Potwierdzenia nie ma, ale to nic nie zawadza. Cel Towarzystw jest trojaki: materjalny, fizyczny i moralny. Winny więc natychmiast otworzyć czytelnię bądź to w salach uniwersytetu, bądź to jak w Krakowie uzyskać na to sale w domu Towarzystwa naukowego. W tychże salach winny być umieszczone specjalne biblioteki wydziałów i odbywać się posiedzenia zarządów towarzystw. Winny one również postarać się o sale i przyrządy dla gimnastyki, i zawiązać akademickie towarzystwo śpiewu, które z pomocą towarzystw muzycznych może dawać wieczory na rzecz Towarzystwa bratniej pomocy.

A. S.

BIBLIOTEKA
SZKOŁY POLSKIEJ NA BATIGNOLLES W PARYŻU.

Emigracja polska nie zrzeka się nigdy powrotu do ojczyzny, pobyt wśród obcych zawsze uważa tylko za czasowy i odpowiednio do tego, nawet w smutnem życiu tułactwa, zachowuje w całej czystości wyniesiony z Polski, polskiego życia obyczaj. Tak spojona z rodzinną ziemią utrzymuje na służbie narodowej nietylko tych, co pod ojczystem wzrośli niebem, ale i na wygnaniu urodzonych wychowuje na użytecznych obywateli.

Zrodzeni w Polsce mogą własną siłą, własnemi wspomnieniami ochronić się od cudzoziemskiego wpływu, lecz ci, którzy przychodząc na świat już są tułaczami, wspomnień ojczystych mieć nie mogą; wspomnienia te dać im potrzeba. Wykształcenie naukowe, jakie za granicą nabyć można, emigracja da swym wychowańcom; lecz żeby udzielone wiadomości mogły być zastosowane do potrzeb krajowych, temu same instytucje zagraniczne zadosyć uczynić nie są w stanie. Emigracja dostatków nie ma, nie może więc zaopatrzyć się w książki i pisma rok rocznie w Polsce wychodzące, któreby tak ją jak i dzieci jej obznajamiały choć tylko ze smutną dolą narodu. Lecz co przechodzi siły emigracji, temu kraj, gdy zechce, podoła.

Rząd francuzki uznał Szkołę Polską za instytucję użytku publicznego — dla czegożby naród nie miał również nadać jej tego prawa i uświęcić go czynem, przychodząc w pomoc, chociażby tylko nadsyłaniem umysłowego pokarmu? Uznanie to zbyt ściśle złączone jest z godnością narodu i dla tego sumienie nakazuje nam przypomnieć nasze własne względem nas obowiązki.

Tych kilka słów wstępnych powiedziawszy jako Polacy i jako powołani do czuwania nad rozwojem biblioteki Szkoły Polskiej na Batignolles, prosimy pojedyńczych obywateli a mianowicie literatów, księgarzy i wydawców tak dzieł jak i pism perjodycznych, o przysłanie owocu prac współrodaków — prosimy, imieniem dzieci wspólnej matki naszej, ojczyzny.

Dary Wasze nie zaginą, bo oprócz tego, iż będą nasieniem przyszłości w młodem pokoleniu, pozostaną jako własność narodowa w bibliotece, która w tym celu powstała z ofiar wieloletnich i dziś już liczy ksiąg przeszło 20 tysięcy. Bibliotekę tę, da Bóg, przeniesiemy do kraju i zostawimy w spadku szczęśliwszym od nas następcom.

Ze zbioru wspomnionego korzysta obecnie młodzież szkolna, korzystają w otworzonej na ten cel czytelni emigranci polscy, a wpatrując się w przeszłość i obecne życie narodu, z niem niejako w duchowej zostają wspólności.

Sądzimy, iż dość jest wskazać cel poczciwy i drogę do niego wiodącą, aby każdy tą drogą poszedł i przyczynił się do urzeczywistnienia zamiaru wedle możności, sumienia i miłości dobra publicznego.

Paryż, dnia 14 stycznia 1866.

Eustachy Januszkiewicz, konserwator biblioteki.
Bohdan Zaleski, członek rady szkolnej.
Karol Ruprecht, bibliotekarz Szkoły Polskiej.

Wszystkie tego rodzaju ofiary mają być przesyłane pod adresą: *à M. Charles Ruprecht, 56, Boulevard de Batignolles, Paris.*

Odczyty popularne
dla przemysłowców i rękodzielników.

Dnia 28 stycznia w niedzielę rozpoczął się szereg odczytów popularnych dla przemysłowców i rękodzielników. Licznie zebraną publiczność różnego wieku i stanu, w której widzieliśmy i wiele kobiet, zgromadzonych na jednej galerji, gdyż drugą oddano na użytek młodocianych słuchaczów mężkich, powitał p. profesor Strzelecki serdeczną dłuższą wstępną przemową; wykazał w niej ważność nauk przyrodniczych, o ile te przyczyniają się tak do ogólnego wykształcenia każdego człowieka, jako też do rozwoju wszelkich rzemiosł i przemysłu, które to dopiero oparte na wiadomościach technicznych i przyrodniczych rozwijają się i udoskonalają. Słusznie więc uważać je trzeba jako podstawę dobrego bytu pojedyńczych ludzi jak i całych narodów. Nie potępiając i nie zaniedbując sztuk pięknych, zaleca szan. profesor pracę nad naukami przyrodniczemi, i dowodzi ważności i konieczności rozwijania ich, gdyż jeżeli są piękne i potrzebne pieśni o ziemi naszej, również wiedza o niej nie jest mniej ważną i konieczną. Uznało i stwierdziło to przekonanie i Towarzystwo Naukowe krakowskie, wybrawszy z łona swego mężów światłych do utworzenia komisji fizjograficznej, której zadaniem jest badać stan, położenie i własności ziemi naszej.— Mowę swą kończy szan. profesor zapowiadając w szeregu tegorocznych odczytów więcej systematyczności jak w poprzednich, ograniczenie się na ważniejszych działach nauk przyrodniczych, rozwijając je obszerniej i zastosowując do różnych rzemiosł, fabrykacji i nowszych wynalazków. Rozpocząć ma odczyty wykład o elektryczności i o zastosowaniu tejże w życiu praktycznem.

Z ułożonych 20 odczytów mają podobno połowę zająć wykłady o elektryczności, resztę o meteorologji, fabrykacji cukru, octu i innych.

Następnie przystąpił p. Płachetko do wykładu o elektryczności. Wykładem swym płynnym i jasnym potrafił odrazu zająć zgromadzoną publiczność, starając się oraz każdy swój dowód stwierdzić naocznie doświadczeniami na przygotowanych przyrządach, lecz wilgotne powietrze nie pozwoliło mu w zupełności zadosyć uczynić swym usiłowaniom, obiecał więc na następnych posiedzeniach przy więcej sprzyjających okolicznościach słuchaczom swoim brak ten wynagrodzić. Wyjaśniwszy pojęcie elektryczności, jej zasady, własności, przystąpił do okazania różnicy natury elektryczności, wynikłej przez pocieranie różnych ciał; różnica ta dała nazwę elektryczności wydobytej z pocierania szkła wełną: szklannej czyli dodatniej (+), wzbudzanej zaś na żywicy lub laku przez potarcie kawałkiem sukna lub lisim ogonem: żywicznej czyli ujemnej (—). Dalej rozróżnił ciała na dobre i złe przewodniki, t. j. posiadające zdolność szybkiego przyjmowania elektryczności i rozdzielania jej po całej swej powierzchni, ale i szybkiego jej utracania— i na złe przewodniki, nie przeprowadzające elektryczności z jednych swych cząstek na drugie, ale dłużej ją zatrzymujące w sobie. Następnie wyjaśniał zjawiska elektryczności powstałej przez udzielanie, czyli przez zetknięcie się z ciałem naelektryzowanem innego ciała, oraz elektryczności powstałej przez samo zbliżenie tylko lub rozdzielenie. Wykazał sposoby dochodzenia, czy i w jakim stopniu ciało jest elektrycznem i jakiej natury, dodatniej lub ujemnej — a to za pomocą elektroskazów i elektroskopów. Zakończył wykład swój szan. profesor dokładnym opisem machiny elektrycznej i jej części składowych, służącej do wywołania większej ilości elektryczności i nagromadzenia jej w zbiorniku.

Drugi wykład o elektryczności rozpoczął prof. Płachetko od krótkiego powtórzenia opisu machiny elektrycznej; następnie wskazał przeznaczenie kondenzatora czyli zbiornika, na małej przestrzeni nagromadzania znaczniejszej ilości płynu elektrycznego i granicę, do której to może mieć miejsce w zbiorniku przy machinie elektrycznej, t. j. jak długo napięcie zbierającej się elektryczności na krążku nie wyrówna napięciu w machinie elektrycznej, wtenczas bowiem kondenzator już więcej ładować się nie może. Jako przyrząd, dozwalający w większej obfitości nagromadzanie elektryczności wskazał nam i opisał szan. profesor taflę Franklina, składającą się ze zwyczajnej tafli szklannej oprawionej w drewniane ramki, na obu powierzchniach oklejone cyną, lecz niedochodzącą do samych brzegów; obie powierzchnie nie łączą się z sobą, lecz jeden z nich łączy się z ramką za pomocą małego paska cynowego, który się styka z pierścieniem, na którym zawieszony jest łańcuszek. Przy ładowaniu na jednej stronie zbiera się elektryczność dodatnia, na drugiej ujemna. Lecz i tym przyrządem w nieskończoność elektryczności nagromadzać nie można, gdyż obawiać się trzeba, że napięcie tych elektryczności przewyższy opór tafli, i płyny łącząc się z sobą, sprawiłyby pęknięcie jej. Jako wygodniejszy do doświadczeń inny jeszcze rodzaj zbiornika przedstawił p. Płachetko butelkę lejdejską Kleista mniejszych i większych rozmiarów, której budowa polega na tych samych zasadach, co powyżej opisanych zbiorników — wskazał sposób jej nabijania elektrycznością i rozbrajania za pomocą przyrządu zwanego excytatorem czyli rozbrajaczem.

Następnie opisał przyrząd służący do wykazania elektryczności, znajdującej się w ciałach w bardzo małej ilości, nie dającej się wykazać zwykłemi elektroskazami, i przedstawił nam jako taki bardzo czuły kondensator czyli zgęszczacz Wolty. Z porządku przystąpił sz. profesor

do opisu elektroforu, przyrządu wynalezionego przez Woltę, a składającego się z krążka drewnianego wylanego żywicą, i z takiejże wielkości krążka drewnianego pokrytego cynfolią, opatrzonego rączką szklanną odosabniającą, okazującego elektryczność za potarciem żywicy lisim ogonem, pierwej należycie osuszywszy krążek żywicy i drewniany. Opisał potem krzesiwko elektryczne i w końcu wspomniał o baterji elektrycznej, powstałej z połączenia wielu butelek lejdejskich, a służącej do nagromadzenia elektryczności w większej sile.

Zajmujący wykład zawdzięczyli słuchacze licznymi oklaskami.

O godz. 5. rozpoczął p. Witalis Smochowski wykład o cukrze. Zaczął od opowiadania, iż początkowo wyrabiano cukier jedynie z trzciny cukrowej, a dopiero Napoleon I w czasie wojny z Anglją, zamknąwszy przywóz wyrobów angielskich do Europy, polecił Akademji Nauk paryzkiej zbadanie, w jakich roślinach znajduje się cukier, a któreby mogły być uprawiane w Europie. Skutkiem tego polecenia czyniono doświadczenia, a owocem tychże było, że między innymi produktami obejmującymi cukier, buraki zawierają go w wielkiej ilości. Następnie okazał różne rodzaje cukru jak: skrobiowy, mający głównie zastosowanie w gorzelnictwie, owocowy, mlekowy i t. p. Podniósł własności cukru, słodycz, białość jego, następnie krystalizację, i wspomniał o jego znaczeniu w gospodarstwie rolnem. Pobieżnie opisał areometry służące do oznaczenia, ile cukru znajduje się w pewnym rozczynie. Dłużej się zajmował burakami, kształtem, wielkością najstosowniejszą do fabrykacji cukru i sposobem rośnięcia ich w ziemi. W końcu mówił o używaniu kości w celu czyszczenia cukru, ich wypalaniu i przyrządzaniu.

W następnej prelekcji obiecał przystąpić do właściwej fabrykacji cukru.

W trzecim wykładzie o elektryczności (w niedzielę dnia 4 lutego) przystąpił p. profesor Płachetko do doświadczeń z machiną elektryczną, wytłómaczył bieg wężykowaty iskry wydobywającej się z przewodnika powodem nadzwyczajnej szybkości, z jaką przelatuje, czem tłómaczył objawienie się błyskawicy zwykle zygzagowato — następnie wskazał wydobywanie elektryczności dodatniej i ujemnej, i jakkolwiek objawienie się tychże jest pozorem jednakowe, lecz działanie różne, objaśnił to na elektrafonie, na którym pierwsza objawia się promienowato, druga obłoczkowato. Następnie jako dowód własności elektryczności okazał wpływ tejże na przyrządach tak zwanych baldachim elektryczności i bukiet elektryczny — gdzie przy pierwszym wiszące tasiemki papierowe, przy drugim opadłe listki przez działanie elektryczności się podnoszą. Odpychanie i przyciąganie elektryczności ujemnej i dodatniej okazał na dzwonku elektrycznym, przyrządzie tłómaczącym takie tworzenie się gradu, i na kołowrocie elektrycznym. — Okazał, że i człowiek może być przewodnikiem elektryczności, jeżeli elektryzując się stanie na stołeczku odosobnionym od ziemi przez nóżki szklanne, i w takim razie za dotknięciem się osoby elektryzowanej wydobywanej się iskry. — Własność zapalną elektryczności okazał przez zapalenie eteru iskrą elektryczną, również bawełny posypanej proszkiem kalafonji — nareszcie na pistolecie elektrycznym, przyrządzie blaszanym napełnionym gazem wodorodowym, i zatkanego silnie korkiem gdy za zbliżeniem iskry elektrycznej gaz wodorodowy styka się z kwasorodem powietrza zapala się i przez prężenie powstałe ztąd wypycha siłą i hukiem korek. — Wspomniał także o działaniu iskry elektrycznej na różne metale przez rozpalenie ich do czerwoności, topienia. Z porządku objaśnił sposób mierzenia siły elektryczności za pomocą przyrządu znanego elektrometrem Heulego, którego części składane stanowią słupek drewniany, do którego przyczepione tarcze półkoliste oznaczone stopniami, w środku której znajduje się pręcik z kuleczką rdzenia bzowego — a wznoszenie się lub opadanie kuleczki świadczy o silniejszem lub słabszem naprężeniu elektryczności.

Mechaniczną siłę iskry elektrycznej okazał sz. profesor na kilku kartach złożonych, które przez działanie tejże zostały przedziurawione. Następnie objaśniał objawianie się światła elektrycznego, które powstaje zawsze przy zobojętnianiu się dwóch elektryczności o silnem napięciu; kolor tego światła jest rozmaity, zależy od natury ciał, otaczającego powietrza i jego ciśnienia, w ogóle jest większy blask im silniejsze napięcie elektryczności, i wiruje między zielonym i fioletowym, który jest najsłabszy — wspomniał o nadzwyczaj szybkim przebiegu światła elektrycznego, wynoszącym 60.000 mil na sekundę — tłómaczył to na tarczy pomalowanej z jednej strony kolorem białym i czarnym, z drugiej czerwonym i żółtym, chciał okazać, iż umieściwszy taką tarczę w ciemni i obracając ją ciągle, poddawszy ją następnie działaniu światła elektrycznego, to obrót jej z powodu nadzwyczajnej szybkości iskry zupełnie będzie niewidoczny i tarcz będzie pozornie nieruchomą. Lecz nagromadzona wilgoć w sali przy końcu wykładu nie dozwoliła mu tego. Szan. profesor obiecał na przyszłym wykładzie to jakoteż i inne interesujące doświadczenia z światłem elektrycznem przedstawić. Wszystkie inne powyższe doświadczenia bardzo się powiodły.

W końcu p. Płachetko wytłómaczył powstawanie błyskawicy, grzmotu i piorunu, a następnie tworzenie się gradu, przyczem uznał za najwłaściwszą co do tego zjawiska teorję Wolty, polegającą na kolejnem przyciąganiu i odpychaniu kulek gradowych przez dwie chmury, naładowane przeciwnemi elektrycznościami; w ten sposób kulki się tak znacznie powiększają zostając dłużej w zimnej atmosferze między dwiema chmurami, iż wzrastają czasem do takiej wielkości, jak widzimy je spadające na ziemię.

Wykład skończył się o godz. 6., gdyż z powodu słabości p. Tynieckiego nie było zapowiedzianego wykładu o fabrykacji octu. Szan. prof. Płachetko korzystał więc z czasu i użył go na ukończenie doświadczeń — w następnych wykładach obiecał mówić o zastosowaniu elektryczności, jak o galwanoplastyce, telegrafach i t. p.

Piękny i jasny wykład zawdzięczyli słuchacze szan. profesorowi hucznymi oklaskami.

Z przyjemnością uważaliśmy, iż tym razem sala do końca wykładu została napełnioną słuchaczami; świadczy to, iż piękny i interesujący wykład nie znudził słuchaczów. (C. d. n.)

Вопросъ объ обще-славянскомъ письмѣ. (Kwestja pisowni wszech-słowiańskiej.)

O lichej tej ramocie pana Popowa, profesora na uniwersytecie Moskiewskim dla tego tylko tu wspominamy, że znalazła dla się przekładcę w osobie Czecha panslawisty p. Fr. Aug. Urbanek, który ją b. r. w Pradze wydał.

Nieznana nikomu w języku moskiewskim, przełożona na język czeski, może obałamucić mniej rzeczy świadomych w Słowiańszczyźnie i wnieść nowy przyczynek do złego, które spowodowało wrodzone Moskwie usposobienie do pożerania krajów i narodów, jak również nieszczęsny obłęd tych z pomiędzy Słowian, którzy zazdroszcząc wieszanym, wywożonym na Sybir i do kopalń — chętni poddać świat cały pod przemożne berło — najmiłościwszego cara.

Już z tytułu samego, nie czytając broszurki, odgadnie każdy treść jej wcale nie zagadkową — oklepane to a potworne żądanie Moskali: „Przyjmij Słowiańszczyzno pismo moskiewskie. Za pismem pójdzie, że literaturę Moskwy uznasz za własną, oplwasz świętości twe narodowe i zaprzesz się samej siebie, pozostawszy jedną stómilionową Moskwą i podążysz, z carem i Katkowem na czele, knutem i szubienicą tworzyć nowych Moskali, aż kulę ziemską mieczem i ogniem przeszedłszy — wszędy zatkniesz orły carskie i krzyże carskiego prawosławia!“

Olbrzymia nieziemskiej świetności przyszłość!...

Z logiki moskiewskiej czerpiąc motywa do swych twierdzeń, p. Popow stanowczo zawyrokowuje, że Słowiańszczyzna nie jest w stanie istnieć bez azbuki moskiewskiej i Słowianie wszyscy bez wyjątku pójdą za prorokiem swym p. Jezberą, by się połączyć z 70 milionami Słowian, czyli mówiąc inaczej — zostaną prawosławnymi Moskalami. Z powagą profesora wylicza głosy mężów powagi, o których wiedzą chyba właściwe władze szkolne, jakowi to mężowie przychylni są dążeniom p. Jezbery; zasłania się powagą pp. M. Majara, Raczki'ego, Smolara, chociaż uczeni ci wcale inne mają przekonania o potrzebie zaprowadzenia jednakowości pisma między Słowianami. Rzeczą jednak zasługującą na uwagę jest to, iż wedle zapewnienia p. Popowa mają być wkrótce wydane:

1) Polsko-moskiewski elementarz;
2) polski elementarz dla dzieci wiejskich;
3) litewsko-moskiewski elementarz — drukowane azbuką moskiewską.

Z tego widzimy, że Moskale na prawdę biorą się do cywilizowania Słowian na wzór moskiewski, i że o nas pierwszych obiją się

pociski cywilizacji, Moskwie przez Piotra jeszcze nadanej i testamentem przekazanej następcom tego despoty.

Azbukomanja więc przestała być marzeniem niedowarzonych głów moskiewskich i niemoskiewskich uczonych i nieuków — bez ogródek powiedziano nam, iż mamy wybierać między zupełną zagładą a zaszczytem pozostania Moskalami.

W obec takiego postawienia kwestji — ogólnej dla Słowian pisowni — milczeć nie możemy, nie powinniśmy!

Teraz już mężom nauki nie przystało chować grzeszne milczenie w sprawie, która tak groźnymi dla nas skutki jest brzemienna.

Z przemocą — uczone spory zdadzą się na nic: ale mamy przed sobą miljony braci, co obcy naszemu doświadczeniu, które krwawo skroń naszą znaczą, nieświadomi niebezpieczeństwa, łatwo mogą dać się uwieść pozorem spotęgowania sił choćby przymuszoną jednością, i dobrowolnie ugną karku, by w niewoli więzach zagubić samodzielne istnienie narodowe. Plemieniem całem uczuliśmy potrzebę spotęgowania sił naszych jednością, której zadatkiem ma być pisma jedność — nie uchylajmyż się więc od pracy, nie przeczmy oczywistości pragnąc pogrzebu myśli, drgającej pełnią życia! Wielcy i mali weźmy się do dzieła, a odwrócimy grożące nam niebezpieczeństwo, i skutek pomyślny uwieńczy zespolone usiłowania nasze.

Pisma jedność niezbędną jest dla nas — konieczności tej nie przeczmy; ale przez Bóg żywy! czyliż to zaczątkowe połączenie mamy ceną nieistnienia okupić? mamyż dla pozostania silniejszymi przestać być samymi sobą? — Nigdy!

A przecież nie unikniemy okropnego losu, jeśli usiłowania panslawistów moskiewskich wezmą górę w Słowiańszczyźnie! Dość już nieczynnego przypatrywania się niecnym machinacjom carystów, wyrodków z pośród wielkiego plemienia, któremu świetniejsza przyszłość naznaczona nad służalczość podłym celom despotyzmu!

Pismem wszechsłowiańskiem nie ma być moskiewskie, gockie lub łacińskie, ale nasze własne — słowiańskie.

Jak pismo greckie jest tylko wyrobem hebrajskiego, etiopskiego, jak łacińskie postępem greckiego, tak pismo nasze jest i ma być doskonalszem wyrobieniem się pisma łacińskiego

Nie cofać się nam, lecz postępować! nie wracać się do niezgrabnych starszych kształtów pisma gockiego, lub — zwanego kirylicą, nie przyjmować nędznej mieszaniny — niedoskonałego wyrobienia alfabetu greckiego — jaką jest azbuka moskiewska; ale z ostatecznego wyrobienia się kształtów pisma alfabetu łacińskiego snuć dalej przędzę do pisemnej tkanki pisma słowiańskiego.

Kto zaprzeczy, że znaki dla dźwięków mowy słowiańskiej: ł, ź, ż, ś, ć, č, š, ą, ę — nie są doskonałe? Kto powie, że one nie są wystarczającymi?

Tylko zła wola lub nieuctwo może tak przeobrażonemu alfabetowi łacińskiemu odmówić wyższości nad azbuką — łataniną azjatyzmu z europeizmem.

Zaletą pisma jest: rozmaitość znaków przy swej jednakowości — odmienność przy podobieństwie.

Oto są oba alfabety:

łacińsko-słowiański:

A, Ą, B, C, Č, D, E, F, G. H, I, J, K, L, Ł, M, N, O, P, R, Ř, S, T, U, W, Y, Z.

moskiewski:

А, Б, В, Г, Д, Е, Є, Э, Ж, З, И, І, К, Л, М, Н, О, П, Р, С, Т, У, Ф, Х, Ц, Ч, Ш, Щ, Ъ, Ы, Ь, Ю, Я, Ѣ, Ѳ, Ѵ.

Spojrzmy, który alfabet odznacza strona estetyczna?

Zapytajmy lekarzy: który jest dogodniejszy dla oka?

Zapytajmy nauki: który jest odpowiedniejszy swemu przeznaczeniu?

W alfabecie pierwszym jest odmienność przy jednolitości znaków pisma; w drugim — co wspólnego mają znaki **А, В, С, М** ze znakami **Ф, Я, З, Ж, П, Д**?... Czyli pierwszy ma tak nieestetyczne znaki jak: **Ж, З, Я**?... Czytajmy książkę drukowaną znakami pierwszymi i drugimi — z pewnością po godzinie czytania azbuki uczujemy ócz zmęczenie, czego nie doświadczymy czytając książkę drukowaną czcionkami łacińskiemi.

Ze stanowiska naukowego porównując oba alfabety widzimy, że pierwszy ma tyle znaków, ile jest dzwięków mowy, tak, że każdy dźwięk ma dla się znak w piśmie, co jest znamieniem dobroci pisma; w azbuce przeciwnie: znaków więcej aniżeli dźwięków mowy — bo gdy pierwszych jest przeszło 20, ostatnich w azbuce jest przeszło 30. Mimo tę obfitość znaków dźwięki mowy słowiańskiej ǫ, ę, czeskie ř, nie mają dla się znaków w azbuce moskiewskiej.

Coż nam każe tak nędzne pismo przyjmywać, porzucając doskonałe, które używamy?...

W s z y s c y Słowianie potrzebują dla się pisma — w s z y s c y też złożyć się nań powinni, — i wtedy dojdziemy do posiadania pisma wszechsłowiańskiego.

Ludzi nauki wzywamy, by się zajęli kwestją poruszoną; sami ozwiemy się w rozprawie obszerniejszej chyba wtedy, gdy głos poważniejszy nas nie uprzedzi.

Jesteśmy przekonani, że bardzo małe tylko modyfikacje pism pojedyńczych słowiańskich (zamiana ą na ǫ od *o* pochodzącego, jak ę od *e*, zlewanie miękkich spółgłosek z samogłoskami, bez posługiwania się literą *i*, zamianą *w* na *v*, *ch* na *x*) i zestawienie tychże — da nam doskonałe pismo wszechsłowiańskie.

Próbkę tego dajemy tu, bez szerszych wywodów, które — jak powiedzieliśmy, odkładamy na później.

A zastrzedz nam wypada, że tylko pisownia f o n e t y c z n a może nas Słowian zadowolnić, nigdy zaś etymologiczna; przykłady więc w tej pisowni podajemy.

Po polsku:

Błogo temu kto pańęta
Luby dźivny gdźeś před laty
Żyvot čysty i skřydlaty —
P'ervorodny svuj počǫtek.

Po czesku:

Kde domov muj, kde domow muj?
Voda huči po lučinax,
Bori šumi po skalinax,
V sade skvi se jara kv́et,
Zemski raj to na pohled:
A to jest ta krasna zemje,
Zemje česka — domov muj!

Po rusku (ukraińsku):

Je na śviti dola,
A xto jiji znaje?
Je na śviti vola,
A xto jiji maje?
. . . .
Tohdi ja veseły̆j, tohdi ja bohatyj,
Jak bude serdeńko po voli hulaty!

Po serbsku:

Razvija se ruža u gradini,
Razvija se barjak u srbina,
U srbina koji roda ńema
Koji ńema ni oca, ni majke,
Kom je puška i otac i majka,
Dva pištolja bratac i sestrica.

Po słoweńsku:

Igral pri jezeru se deček mali,
In v ńem zagledal je obneb'e jasno,
Od zgorńego bol sińe in bol krasno,
Čistejše solnčni žarki so sijali.

Po słowacku:

Nitra, mila Nitra, ti visoka Nitra
Kde że su t'e časy, w ktoryx si ti kvitla?
Nitra, mila Nitra, ti slovenska mati!
Co pozrem na teba — musim zaplakati.

Po chorwacku (serbsku):

Sadila sem bažulek
Sad mu ima treti deń,
V skvornom mestu za gradom,
Idemo ga gledati
Jel je zniknul i precvel?

Po bólgarsku:

Devojče mlado jubavo!
Nemoj mi mina prez dvori,
Ne zadavaj mi jadove
Malko le mi sa moji-te?..

Po białorusku:

Tuman, tuman pry daliṅe,
Šyrokij lišć na kaliṅe,
Šyrej taho na dubočku:
Manić hołub hałubočku,
Daj ṅa svaju, a cužuju:
Xadźi, serce, pocałuju.

Po moskiewsku:

V minutu žizni trudnuju
Kagda t'esnitsa grust',
Adnu malitvu čudnuju
Tveržu ja na izust.

TEATR POLSKI.

(„Sztuka i handel." — Dokończenie.)

Wykonanie artystyczne było pod każdym względem staranne, i gdyby nie zasadnicze braki w sztuce z winy autora pochodzące — prawie bez zarzutu. P. Szymański nie mógł nic udatniejszego zrobić z roli Klemensa, męczącej, niedość wybitnie nacechowanej a przeto trudnej do uchwycenia. P. Wilkoszewski uwydatnił niestosownem ucharakteryzowaniem zewnętrznem niezręczność autora, który z powodów prawie niedocieczonych niemłodemu już Klemensowi każe odgrywać rolę adonisa. P. Linkowski przesadził jak zwykle w ucharakteryzowaniu się — tą razą niepomyślnie.

Kończąc nasze sprawozdanie, nie możemy pominąć zasadniczej uwagi, która się nam pomimo woli nastręcza. Jest to pytanie: do jakiego działu sztuki dramatycznej „Sztukę i handel" policzyćby należało? Nie jest ona bowiem komedją charakteru ani komedją intrygi, ni farsą ni krotochwilą, ani nawet obrazem z życia potocznego wiernie odfotografowanym, ale między niemi wszystkiemi jakiś rodzaj pośredni wprawdzie dziełem wyższych tendencyj, nie dający się atoli estetycznie oznaczyć. Ostatniemi czasy wszedł ten rodzaj hermafrodycznych utworów w modę. Krytyk domagający się po nich zachowania warunków sztuki dramatycznej nie może je podciągnąć pod ściślejsze prawa estetyczne, nie może, że tak powiemy, przyłożyć do nich skali estetycznej. Są to słowa i frazy zręcznie i dźwięcznie wypowiedziane — ale zresztą nic więcej.

Błędu takiego spodziewaliśmy się najmniej po p. Kaszewskim, gruntownym znawcy sztuki, badaczu literatury klasycznej. Czy usiłuje może utworzyć nową formę w dramaturgji? W tym razie nie znajdujemy w jego komedji czegoś odrębnie się cechującego, cobyśmy uchwycić i pojąć byli w stanie.

Tem mniej wyrozumieć możemy ton pism warszawskich, które komedję „Sztuka i handel" podnoszą do wysokości utworu znakomitego i widzą w niej rozwiniętą myśl społeczną. Naszem zdaniem jest ona nader skromnym nabytkiem dla literatury dramatyczej, utworem, który się raz podobać może, ale nigdy głębszego nie obudzi zajęcia i na repertuarzu się nie utrzyma.

Przegląd naukowy, literacki i artystyczny.

— W. Heltmann i N. Janowski ogłaszają w Paryżu prospekt na trzytomowy „Przegląd dziejów Polski" zebrany z „najpoważniejszych" dziejopisarzy. — Będzie on zawierał: I. Geografja — II. Dzieje. — III Rząd — IV. Stany — V. Religja — VI. Oświata — VII. Przemysł. — Będzie to zbiór jak się zdaje bardzo pożyteczny, szczególnie, że obejmuje wszystkie gałęzie narodowego życia. Zaleca się także wielką taniością.

— Wyszła w Lipsku książka pod tytułem: „Demokracja polska na emigracji" przez Wiktora Heltmana. Lipsk 1866. Jestt to zbiór prac tego autora w przedmiocie polityki narodowej, przedruk z rozmaitych dzienników, pisanych pomiędzy 1836 i 1863 rokiem.

— Ekonomisty zeszyt trzeci (grudzień 1865) zawiera: 1) O instytucjach kredytowych ziemskich w Europie ze szczególnym względem na Tow. kred. ziem. w król. Pols. — napisał Czermiński. — 2) Rzut oka na instytucje kredytowe w Rosji — F. Markowskiego. 3) O stowarzyszeniach zaliczkowych w Niemczech J. Kirschrota. 4) O cyrkulacji pieniężnej w król. Pol. Adolfa Kurtza. 5) Odpowiedź na artykuł p. A. Kurtza. 6) Statystyka król. Pol. Rozdział gruntów — przez M. W. 7) Kronika.

— Na jak nizkim stopniu stoją u nas jeszcze nauki, można brać miarę z tego, że dzieł treści matematycznej posiadamy najuboższy zbiór, podręczników prawie żadnych, a pomimo tego gruntownie opracowana arytmetyka przez zdolnego profesora szkoły polskiej na Montparnasie w Paryżu, p. Niewęgłowskiego, autora uprzednio wydanej Geometrji, nie znalazła w Polsce nakładcy, i dopiero kosztem p. Działyńskiego wychodzi na widok publiczny. Druk jej w tych dniach będzie ukończony.

— Obok już istniejących dwóch otwarto w Paryżu trzecią księgarnię polską na rue Tournau, 16, która się odznacza od poprzednio istniejących tem, iż sprowadza dzieła najnowsze w kraju wychodzące tak naukowe jako też i literatury — poprzednie zaś zadowalniały się handlem tylko emigracyjnemi utworami; potrzebujący zaś jakiej książki wyszłej w kraju, zmuszony był oczekiwać rok cały na sprowadzenie.

— Cinquième compte rendru de L'oeuvre du Catholicisme en Pologne. Pod powyższym tytułem wyszło sprawozdanie, które zawiadamia, iż to szanowne stowarzyszenie na wsparcie dla rannych i chorych emigrantów polskich, dla stu dziesięciu uczniów szkół miesięcznego utrzymania, na zapomogi dla wyrobników i pozostających w terminowaniu rzemiosł itd. itd. przez trzy miesiący zebrało i wydało w ogóle na emigrację polską (z wielkim tejże pożytkiem moralnym) franków 40,140 — co dodane do uprzednio w ciągu 9 miesięcy zebranych i wydanych franków 78,744 — czyli w ciągu roku na ogół 118,884 fr. Najczynniejszym członkiem i dyrektorem głównym tego stowarzyszenia jest ks. Adolf Perraud, profesor na wydziale teologicznym.

Zwracamy uwagę czytelników na wyszłe świeżo niemieckie dzieło Dr. F. A. Lange: „Historja materjalizmu i krytyka jego znaczenia w teraźniejszości" Iserlohn 1866. — Dr. Lange przechodzi historję materjalizmu od starożytności aż do najnowszych czasów — od Epikura aż do Moleschotta. W drugiej księdze przechodzi autor historję nowszej filozofji — historję nauk przyrodniczych, a w ostatnim rozdziale „etyczny materjalizm a religja" dotyka kwestyj praktycznych, społecznych, dając wiele zdrowych pomysłów o naukach społecznych. Autor jest czystym materjalistą. W przedmowie powiada: „Jeżeli czas nasz jest początkiem wielkiego okresu przejścia, okresu, w którym się dokonywa stanowcze zdobycie politycznej wolności i wyzwolenia nauki, gdy równocześnie przyjmują się zarodki nowego umysłowego życia, które wytryska oczyszczone z plam tyranji — wtedy i moje słowa się przyjmą. Zamiarem mojem jest wpływać na współczesnych w duchu oświecenia i zgody, ale nie odwracać oczu od wielkich walk, jakie oczekują nowe pokolenia. Im bardziej na oślep w zamęcie czasu idziemy ku tym walkom, tem namiętniejszemi, tem bardziej niszczącemi one będą."

— Arndt'sa i Bluntschle'go „Krytyczny kwartalnik dla prawodawstwa i nauki prawa" zawiera w ostatnim zeszycie: 1) Recenzję dzieła Stölzla o „operis novi nuntiatio" i „interdictum quod vi aut elam". — 2) Irlandzkie prawo kościelne. — 3) Projekt ogólnej dla Niemców ustawy o przedrukach. — 4) Krótkie wiadomości literackie.

— W Berlinie wychodzi pod redakcją L. K. Aegidi czasopismo p. t. „Zeitschrift für deutsches Staatsrecht und deutsche Verfassungsgeschichte". Współpracownikami są: R. Mohl, J. Waitz, H. A. Zachariae i W. E. Albrecht. Redakcja stoi we wszystkich kwestjach na czysto prawnem stanowisku, zostawiając na boku względy polityczne. Dla rozwoju nauki jest to niezawodnie bardzo ważne.

P. T. Prenumeratorów naszych, którzy prenumeratę na „Tygodnik naukowy" za styczeń lub i nadal zapłacili, upraszamy, by nadwyżki, jakie przez podniesienie cen prenumeraty na „Tygodnik naukowy i literacki" wynikły, czem spieszniej redakcji odesłać zechcieli.

Prenumeratę miejscową i zamiejscową przyjmuje także „Ajencja Czasu" we Lwowie.

Autorowie i Nakładcy, którzy sobie życzą, aby obszerniejsza wiadomość o wydanych dziełach zamieszczona była w naszem pismie, zechcą nadesłać redakcji jeden egzemplarz dzieła.

Wydawca i odpow. redaktor F. B. Twardowski. Główny współpracownik Karol Widman. Z drukarni E. Winiarza.